

Włodzimierz Żukowski

Komisarz O'Mlett na trópie

Warszawa 2008

Wszystkie nazwiska, nazwy miejscowości i wydarzenia przedstawione w tej książce są przypadkowe i mają związek z rzeczywistością tylko o tyle, o ile rzeczywistość zechce się z nimi utożsamić.

Maniek Piromaniek tego dnia wcześniej zwał się z wyrka choć październikowy poranek był chłodny i mglisty. Nie golił się, bo nie miał czym, a poza tym nie zwykł golić się w miesiącach parzystych. Wypił resztki bełta pozostałe z poprzedniego wieczora w obtłuczonej butelce, zakąsił setką wody brzozonej na porost włosów i udał się na miejskie wysypisko poszukać codziennego szczęścia.

Naprawdę to wcale nie nazywał się Piromaniek, tylko zupełnie inaczej, ale tę ksywę nadał mu kiedyś komendant miejscowego posterunku policji, który prowadził jego sprawę o podpalenie altanki. Dowodów przeciwko Mańkowi wówczas nie znaleziono, ale ksywa pozostała, bo była łatwiejsza do zapamiętania niż jego nazwisko i nikt w okolicy inaczej Mańka nie nazywał.

Na wysypisku po nocy przybyło sporo nowych śmieci i Maniek podjął codzienne poszukiwania zaczynając od sterty leżącej naj-

bliżej drogi dojazdowej, bo doświadczenie zawodowe nauczyło go systematyczności i właściwej taktyki w procesie poszukiwań.

Zaraz na początku natknął się na niebieski worek z grubej folii, a gdy z pewnym trudem wysypał na ziemię jego ciężką zawartość, z wnętrza wypadł jakiś półtorametrowy walec, z lekka okrwawiony, z jednej strony zaopatrzony w rudawą peruczkę, a z drugiej w parę prawie nowych, sportowych butów „adidasa”. Przy zdejmowaniu butów okazało się, że znajdujące się w nich stopy przyodziane są w białe tenisowe skarpetki z niebieskim szlaczkiem firmy „najki”, wobec czego uradowany znalazca postanowił również wejść w ich posiadanie. Widok nagich, wypedikiurowanych stóp pobudził wszakże szare komórki w Mańku do niejakich refleksji. Jego ubogie zwoje nagle zapracowały intensywniej i Maniek cofnął się jak oparzony.

– O kurczę! – wrzasnął zaskoczony, ale wnet pożałował spontanicznej reakcji gdy dotarło do niego, że znalezisko, aczkolwiek cenne z racji odkrycia ekskluzywnego obuwia, może się okazać nad wyraz kłopotliwe z uwagi na obecność kilku świadków zaalarmowanych jego okrzykiem.

– Ale masz farta, psia twoja mać – powiedział jeden ze świadków, bladolicy Gucio, specjalista od szmat wysokogatunkowych, który dlaczegoś nie lubił Mańka, a teraz pozazdrościł mu znalezi-

ska – ale długo nie nacieszysz się, frajerze, bo ci zara te kapcie psy zabiorom. Ciebie także samo zapuszczajom jak amen w pacierzu – dodał z satysfakcją i oddalił się by skorzystać z telefonu komórkowego, którego był jedynym w tym towarzystwie właścicielem.

Gdy po piętnastu minutach na śmietnisko przybyła policja, przepowiednia Gucia stała się faktem. Maniek został zatrzymany do wyjaśnienia, jak i pozostali obecni, tylko sam bladolicy gdzieś się dziwnie zawieruszył i nie trafił na posterunkowy dotek.

Po godzinie pojawiła się ekipa z wydziału zabójstw, jako że znalezisko mogło sugerować makabryczną zbrodnię. Ekipą dowodził komisarz Egg O'Mlett, czikagowski policjant polskiego pochodzenia, przybyły rok temu na wymianę kadr i odnoszący od tego czasu znaczące sukcesy. Był synem polskiego emigranta i nazywał się Eugeniusz Jajszczyk, ale po wstąpieniu do amerykańskiej policji zmienił nazwisko, bo nikt z kolegów ani przełożonych nie potrafił go wymówić. Jeden kapitan zapadł nawet z tego powodu na kołowacizną języka, a kolega sierżant zapluł się do tego stopnia, że odwieziono go do szpitala z podejrzeniem zapalenia ślinianek. Komisarz O'Mlett rodzimy język znał słabo i przeplatał licznymi angliczmami, ale jego amerykańscy szefowie i tak uznawali go za geniusza w posługiwaniu się tymi szypiaszczymi łamańcami ze środka starej, maleńkiej Europy, która nie wiadomo dlaczego uważa się za kolebkę kultury.

O'Mlettowi towarzyszył aspirant Charuj, partner, dobry kolega i przewodnik po labiryncie polskich stosunków i układów. Współpracował z O'Mlettem od początku jego pobytu w Polsce i cieszył się jego pełnym zaufaniem. Obaj prowadzili już dwa trudne śledztwa, dzięki którym udało się wykryć, że niejaki Ciurbol, nowobogacki biznesmen, uprał się, odwirował i wysuszył we własnej pralce, a dyrektor Kwasignat w wyniku depresji powyborczej zagryzł się własną sztuczną szczęką.

– Rany Julek – powiedział Charuj gdy tylko obaj zobaczyli pozabawiony butów walec – a czym go tak równiutko zwałkowali? Snopowiązałką?

Komisarz zadumał się i widać było, że usiłuje przywołać i połączyć ze sobą nawet najbardziej nieprawdopodobne skojarzenia.

– Ci w Polsce żyje anakonda? – spytał wreszcie z niedowierzaniem, ale i z nadzieją na twierdzącą odpowiedź.

– Anakonda, taki wąż? Nieee. Chyba że w jakimś zoo.

– No bo ty popaczaj, ono duszi, roby z kogo kałbasa i połykuje on dy haul. Ono nie gryże slajs, ono znać w całość, totality. Ten zwłok wgląda jak po anakonda atak.

– Tak myślisz? No to, dajmy na to, połknęła go ta anakonda i co? Wypluła? Nie smakował jej, bo był, na przykład, mało słony albo łykowaty?

– Właśnie nie był pśez ono połykowały, tylko uduśony w kał-basa.

– Aha. To myślisz, że uduśiła, spróbowała, dlaczegoś uznała że niejadalny i poszła sobie? Przypuszczam, że wątpię, ale dla pewności popytamy w zoo, czy im coś nie uciekło – skonkludował Charuj i sięgnął po telefon.

Zoo odpowiedziało po dziesięciu minutach, że anakondy nie mają i nigdy nie mieli bo brak im warunków, mają natomiast pytony, ale te były niedawno karmione, nie są więc agresywne, śpią i żaden z nich nie uciekł. Wątpię również, aby jakiś prywatny hodowca w pobliżu trzymał anakondę, bo informacja na ten temat do nich nie dotarła, a wiedziałby o tym wyspecjalizowany w wę-żach weterynarz, a i hodowania gdzieś w ogródku takiego dwunastometrowego byka nie dałoby się ukryć. Poza tym anakondy preferują teren podmokły, na którym można coś upolować z zasadzki i żadna nie snułaby się po suchym śmietniku.

– No to chwilowo leżem i kwiczem – stwierdził aspirant i scho-wał telefon.

– Wcale nie kwicem – zaoponował O'Mlett – on tu psiweżiony w ten worek, ale coś go duszy, possabyły, daleko daleko, dużo kilo-metry stąd. My muszy mieć ynformejcja o psiweżiony skąd, piesz kto i kedi! Ty rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem. Przecież mówisz po polsku.

– Yes. Ja biutiful mówy po polsku.

Tymczasem ekipa intensywnie przekopywała śmietnisko w okolicy worka. Oglądano każdy śmieć oddzielnie, ale, jak na razie, niczego szczególnego nie znaleziono. W worku poza zwłokowym ciałem, odkryto trochę zeschniętych liści klonu i innych szczątków pochodzenia roślinnego, ale żadne ze znalezisk ani o krok nie zbliżyło szukających do rozwiązania zagadki. Dokumentów na pierwszy rzut oka przy zwłokach nie było, nie poszukiwano ich zresztą zbyt intensywnie nie chcąc niszczyć tego wątku przed obejrzeniem go przez patologa. Komisarz pozwolił wreszcie na zabranie zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej i postanowił przesłuchać świadków.

Maniek jako pierwszy stanął przed obliczem komisarza i towarzyszącego mu aspiranta Charuja. Usiadł grzecznie na brzętku krzesła i bohaterstwo usiłował utrzymać na nim względną równowagę mimo potężnego kaca wzbogaconego porannym klinem.

– Imię i nazwisko – zapytał Charuj.

– A bo ja wiem? Nie miałem z tem gościem przyjemności. Pierwszy raz go, kurna, widzę.

– Nie tego gościa nazwisko, tylko twoje – sprecyzował Charuj.

– Moje?

– Tak, twoje.

– Aaaa! Moje. No to Pipszczył, znaczy siem, Marian. Chcem zeznać, że nic nie wiem, że mnie tamój nie było i że jezdem niewinny.

– Dobrze. Syn?

– Nie posiadam nijakiego syna i w ogóle jezdem niewinny. Innych dzieciów też nie posiadam, a także samo małżonki, kościelnej znaczy siem.

– Czym jesteś synem, no, jak ma na imię twój ojciec?

– Mój?

– Tak. Twój.

– Jezdem niewinny, na tatusia nie bedem kapował, on tu już nie mieszka.

– Ja chcę tylko wiedzieć, jak twój ojciec ma na imię! – głos Charuja stwardniał.

– Aaaa, no ma na imię, ma. Pewnie. Każdy ma.

– Ale jak?

– Zdaje siem, Walek.

– Jak to zdaje się? – aspirant zaczął tracić cierpliwość. – Nie wiesz, jak twój ojciec ma na imię?

– No tak na niego wołali. I kumple różne i rodzina, to miał Walek, nie?

– Jak to „miał”? A teraz nie ma?

– Jak siem przewinął na tamte strone, to nie ma.

Charujem z lekka rzuciło, ale opanował się jeszcze. – No dobrze, a jak ma na grobie napisane, „Walery” czy „Walerian”, a może „Walenty”?

– A bo ja wiem? Gdzieś u Ruskich go rąbli, jak po towar pojechał. Cholera wie, co mu tam te Ruskie na grobie bukwały napisali. Ciotka nie mówiła.

– Jaka znów ciotka? Była tam z nim?

– Jak go rąbli, to nie była. Potem raz jeździła, też po towar. Bo to było tak: Ciotka miała budkie z perfumamy i takimi różnymi tam dla babów. Przeważnie brała od Ruskich, a tak naprawdę to to było chińskie, ale klejentom mówiło się, że francuskie. Stary jeździł po towar, a ona jenteresu pilnowała. No i jak raz pojechał, to się tym Ruskim coś nie spodobało i go rąbli, podobnie przez pomyłkę.

– Jak to „mówiło się”, że francuskie? To ty u tej ciotki też pracowałeś?

– Parę dni robiłem, ale zaszło nieporozumienie. O ankocholizm siem rozeszło – z ociąganiem wyjaśnił Maniek.

– Piłeś w robocie? – spytał Charuj bardziej dla porządku niż z chęci uzyskania informacji.

– A jak by panu na okrągło pod nogamy dwie skrzynki wódki stały, to pan by nie pił? To przecież żaden normalny człowiek nie wytrzyma!

– To sprzedawaliście nie tylko perfumy, ale i wódkę?

– Z perfumów nie wyżyje. Ciotka gdzieś skompinowała u takiego jednego, co ruski spirt kranówom dobierał. Szło jak woda, niedziela nie niedziela. – Maniek widocznie uznał, że w zapale zeznawania powiedział za dużo, bo od tego momentu na temat ciotki zamilkł i dłuższy czas nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak miała na imię. W końcu jednak, postraszonej odsiadką, wyjawiał, że Gienia, a budka znajduje się na pobliskim bazarze. Po tym wyznaniu ostatecznie odmówił udzielania jakichkolwiek odpowiedzi na temat bliższej i dalszej rodziny.

Charuj odetchnął jak astmatyczny wieloryb. – No dobra, napiszemy w protokole „Marian Pipszczył, syn Walerego”, może być? A kiedy się urodziłeś? Dzień, miesiąc i rok.

– W sześćdziesiątym chyba czwartym jakoś tak. Detalicznie nie pamiętam. Jakby człowiek wszystko chciał spamiętać, to by mu głowa pękła, nie?

– A dowód osobisty masz?

– Był, był, ale mi zabrali. Bo to tylko taki papier był, że dowód zgubiłem.

– Kto ci zabrał?

– Psy ...znaczy siem policja. Zabrali i nie oddali. Nie wiem, po co on jeim. Kazali se wyrobić, ale człowiek nie miał głowy, a to to, a to tamto i tak zeszło.

O'Mlett spostrzegł, że podwładny robi się z lekka zielony i zaciska pięści pod stołem, więc przejął przesłuchanie w nadziei, że dowie się czegoś w sprawie worka ze zwłokami, a aspirant przez ten czas trochę odpocznie.

– Panie Pajpsc ...sory, Pypśczej ...skjuzmy, panie Merien – zaczął ugodowo – ja muszy wiedzieć, co pan szwadek roby w tę noc. Od wećór do rano. Fajn?

– Że co proszę?

– Ja prosie, pan szwadek mówi co roby od wećór do rano, cała noc.

Maniek zachwiał się tak, że o mało nie spadł z krzesła. Utrzymał jednak równowagę, podniósł ramiona i rozłożył ręce w geście bezradności wobec żądania odpowiedzi na tak oczywiście głupie pytanie:

– A co niby miałem robić? Normalnie. Wieczorem kumpel do mnie jeden przyszedł, Wołowina niejaki, przyniósł parę win, co je gdzieś skompinował, to obciąglim ze cztery flaszki, nawet nie pamiętam jak on wyszedł. Kimałem do rana jak dziecko, bo byłem

zdziebko nawalony. Zimno mi siem zrobiło, to siem podniestem i poszłem na robotę. Jak przyszedłem, to te worki już leżeli. Musowo w nocy śmieciara przywiezła i zwała. Drugie koledzy robili dalej, na zwalce, to siem wziąłem najsampierw za ten niebieski worek, bo z brzegu leżał. A co miałem robić? Nie otwierać? Przecież nie wiedziałem, że tamój trupa znajdę!. Jakbym wiedział, to bym za cholere nie otwierał. Nie idzie tak żyć, żeby człowieka za niewinność zara na dołek!

Komisarz słuchał tego wyjaśnienia skupiony i nie przerywał Mańkowi wartkiego potoku wymowy, zadowolony, że ten w końcu mówi coś w miarę rozsądnego i nie udaje wariata, ale mimo to postanowił sprawdzić jego alibi.

– A ten kolega, Wołowina, co pśisiedł, to jak się nazywa?

– Nie wiem. No, jak Boga kocham, że nie wiem! Wszystkie na niego wołajom Wołowina, pan się spyta kogo pan chce!

– Ci wy tuggeder ...znać razem robycie w ten szmetnik?

– Nieee, on po mieście butelki zbiera i na skup oddaje. Troszkie z tego wyciąga, ale nie za wiele, to jeszcze za złomem chodzi, ale drutów nie wyciąga, bo raz go kopło. Dekle od studzienek bierze jak się trafi. Czasem przy tem jakimś flachę skompinuje i tak, panie, życie powolutku leci. W śmieciach nie robi, bo go obrzydliwość podobnieź bierze i leczył się na uczulenie od muchów.

– Topsisie. Na razie prosie aut.

– A piac na dołek? – Maniek był wyraźnie zde gustowany, ale czynnie nie oponował.

– Właściwie to my dalej nic nie wiemy, ale trzeba będzie ich puścić – stwierdził Charuj, gdy Mańka wyprowadzono z pokoju przesłuchań. – Chłopaki z komendy badają, która śmieciara to przywiozła i skąd, ale to potrwa, bo nikt w pojemnikach nie grzebie tylko wrzuca całą zawartość, później na zwalce wszystko wywala i nawet nie patrzy, co wysypa. Jak ustalą tych gości ze śmieciarki, to nam ich podeślą, ale wątpię żebyśmy się dużo dowiedzieli.

– Ja miszly, że my dużo dowiedzieli z autopsja od koroner.

– Dopiero może się dowiemy. Najważniejsze, to ustalić kto to jest ten zwalcowany.

Protokół z pilnie zarządzanej sekcji nadszedł późnym popołudniem i rzucił trochę światła na tajemniczą dotychczas postać ofiary. Patolodzy stwierdzili, że są to zwłoki mężczyzny około pięćdziesięcioletniego, wzrostu pi razy oko 165 do 175 cm, noszącego górną protezę zębową wykonaną z najlepszych materiałów, wyróżniającego się dużą łysiną czołową, prawdopodobnie ukrywaną pod rudawym tupecikiem. Ustalono, że zdjęta z nieboszczyka odzież była kompletnym dressem sportowym w kolorze jasnoniebieskim z pomarańczowymi wstawkami, wykonanym z wysoko-

gatunkowej tkaniny plamoodpornej i zaopatrzonym w plastikowe zamki błyskawiczne. Pod dressem denat miał bawełniane gacie, zielone w różowe palemki i również bawełnianą, fioletową koszulkę z krótkimi rękawkami. Opis ciała stwierdzał, że delikwent miał połamane wszystkie żebra, miednicę i kości długie, ale nienaruszoną pokrywę czaszki i kręgosłup, natomiast część twarzową zmiażdżoną i nierozpoznawalną. Jako przyczynę zgonu podano uraz wielonarządowy, a czas zejścia ustalono na mniej więcej godziny od piętnastej do siedemnastej dnia poprzedniego. Na środkowym palcu lewej ręki denata znajdował się złoty sygnet z oczkiem koloru czarnego z grawerunkiem wyobrażającym polski herb „jeli-ta”. W żołądku denata wykryto nie strawiony jeszcze obfity obiad wymieszany z aromatem whisky i koniaku oraz nie przeżutą kartę z telefonu komórkowego. Badanie krwi wykazało przeszło dwupromilową zawartość alkoholu, wysoką miligramaturę cukru i zabarwienie intensywnością wskazujące na bardzo wysoki poziom patriotyzmu, znacznie przekraczający średnią krajową. Mięsień sercowy nie nosił blizn pozawałowych, a jego otłuszczenie mieściło się w górnych granicach normy. Stan popękanej wątroby wskazywał na jedynie okazjonalny alkoholizm, nerki natomiast mogłyby zaniepokoić urologa czy handlarza organami, lecz dla kryminologa nie stanowiły atrakcji. Zwłoki z zewnątrz nie były oślinione ani

pokryte jakimkolwiek śluzem, wykluczono więc przygotowanie ich do spożycia przez jakiegoś węża. Pobrano wycinki celem określenia DNA do celów porównawczych i odciski palców.

– Odcisków nie mamy w kartotece – sucho stwierdził kolega od identyfikacji, który dostarczył im protokół sekcji. – Przykro mi, ale sami musicie się czegoś domacać.

– Kolera, psza macz – stwierdził komisarz po przeczytaniu protokołu – znaczy zwłoka nie był jedzony, ono wery gut patriot, tważy nie posiada, a na lancz łyka kartę od telefon. Znaczy premedytacja or psipadek?

– Myślisz, że chciał na deser zjeść, na przykład, czekoladkę, ale pomylił przedmioty i wrąbał kartę? Raczej mało prawdopodobne. – uśmiechnął się Charuj. – Natomiast ciekawe, do kogo ta karta należy. Żadnego telefonu, jak na razie, nie znaleziono, ani przy denacie, ani w pobliżu.

– Telefon mozie chowany gdzie on łyka tę kartę, nie w szmetnik.

– Może, tylko że nie wiemy, gdzie to było

Komisarz z Charujem siedli i zaczęli klasyfikować informacje na temat zwałkowanej ofiary. Wyszło im, że to pięćdziesięcioletni mężczyzna średniego wzrostu, nie stroniący od alkoholu, raczej bogaty, w chwili śmierci uprawiający jakiś rodzaj sportu albo jogging niedługo po zakrapianym posiłku, być może obiedzie, ukrywający tysinę

i szczególnie dbający o stopy, możliwe że bawidamek, z przerostem prostaty adekwatnym do wieku, cierpiący na początkową kamicy nerkową, zaskoczony informacją lub wydarzeniem, które skłoniło go do połknięcia karty telefonicznej i pozbycia się komórki, być może w celu ukrycia się przed namiarem elektronicznym.

Po godzinie specjalista od telefonii komórkowej doniósł im, że mocno nadgryziona kwasami żołądkowymi karta należy do niejkiej Aldony Pieścik zamieszkałej w miejscowości Parzęczew Kościelny i została uaktywniona zaledwie tydzień temu. Przez ten czas przeprowadzono dwadzieścia cztery rozmowy, z czego tylko pięć w odbiorze od jednego abonenta, natomiast pozostałe dziewiętnaście wychodzących z różnymi odbiorcami nie dającymi się w pełni zidentyfikować.

W tej sytuacji policjantom nie pozostało nic innego, jak tylko ustalić i posprawdzać rozmówców. Rozpoczęto od właścicielki karty, pani Aldony Pieścik.

Miejscowość Parzęczew Kościelny okazała się niewielką wsią w powiecie zapluskwickim. Wbrew nazwie nigdy nie było w niej kościoła, a określenie „Parzęczew kościelny” zawdzięczała półprzemysłowemu parzeniu kości bydłych przed ich zmieleniem na mączkę, którym to procederem od bardzo dawna zajmowała się miejscowa ludność.

Zagrodeń Pieścików policjanci znaleźli bez trudu. Była to rozpadająca się chałupa kryta eternitem i resztki zabudowań gospodarczych w stanie całkowitej dewastacji.

O'Mletta i Charuja przyjęła babka, która w krótkich słowach poinformowała ich o losach rodziny i określiła własny stosunek do rzeczywistości:

– A wynośta mi się won z podwórka! Niczegój się nie dowieta, bo ja nie mam życzenia i już. Syna i synowej nie ma, bo gdziesik tamój do zajęcia pojechali, a wnuczki to ja już ruski miesiąc nie widziałam jak wyniesła się do Warszawy za artystkie robić!

– To pani wnuczka Aldonka jest artystką? – z wymuszonym podziwem w głosie spytał Charuj.

– A jest, pewnie że jest. Za pierwszom miskie gminy w mokrem podkoszulkę się została, będzie z pół roku. Jak te konkursy byli, to sam wójt jom u siebie do pokoju zapraszał. Ale wy już sobie idźta, bo nic wam do tego. Ja tam nie wiem, gdzie ona cyckamy zarabia. Ale ksiądz mówił, że dużej obrazy boskiej nie ma, bo lepiej cyckamy zarabiać niż radyja nie słuhać i w lewicy być za pośta. No, idźta już, bo psamy poszczuję!

– A może ma pani zdjęcie wnuczki z tego konkursu?

– Nie mam, bo Aldonka wszystkie zabrała, jak tego sponsorego poznała, podobnie Włocha albo skądś tam. No, wynośta się!

Nie mam życzenia dłużej z wamy dyszkutować, tera jest wolność i demokracja, a nie takie przymuszanie na siłę do grzechu jak za komuny!

Plan operacyjny zasięgnięcia informacji u źródła spalił na panewce, więc pożegnali babkę, wsiedli do samochodu i pojechali. Dowiedzieli się tylko tyle, że Aldona Pieścik jest osobą młodą, w jakimś sensie atrakcyjną i gdzieś w Warszawie robi karierę artystyczną, o ile tak to można nazwać. Po drodze wstąpili do urzędu gminy w nadziei, że może zachowały się jakieś zdjęcia z konkursu, ale biuro wójta zamknięte było na głucho, a przepytywane urzędniczki wyraźnie lekcewały sam konkurs, jak i jego laureatkę.

– Wy, chłopcy, to tylko o jednym myślicie – podsumowała ich oczekiwania kierowniczka wydziału stanu cywilnego. – Nie wstyd wam za taką lafiryndą niby służbowo się uganiać? Kupcie sobie jakiś świerszczyk albo „Gazetę Wyborczą” to będziecie mieli takich zdjęć na pęczki. Ja tam takich świństw nie oglądam.

– To skąd pani wie, że w Gazecie są takie świństwa, skoro pani tego nie ogląda? – spytał aspirant.

– Jak to skąd? Wszyscy wiedzą. Ojciec dyrektor w radiu mówił.

Westchnęli i opuścili gościnny urząd gminy żegnani zgorzonymi spojrzeniami aktywistek miejscowego kółka różańcowego. O'Mlett chciał wykorzystać swoje uprawnienia i zmusić panie do

udostępnienia danych na temat konkursu, ale Charuj odwiódł go od tego zamiaru.

– Szefie, na co ci to. Jeszcze zlecą się jakieś nawiedzone dziennikarki z miejscowej gazetki ściennej i będziemy się tydzień tłumaczyć z rzekomego nadużycia władzy i naruszenia jakichś tam uczuć. Na cholerę nam taki pasztet.

Po powrocie do komendy i przespaniu bogobojnie nocy we własnych łóżkach, z samego rana dowiedzieli się od kolegów z ekipy, że nikt nie zgłaszał zaginięcia kogoś o danych zbliżonych do „ich” denata, a obecnego adresu Aldony Pieścik dotychczas nie udało się ustalić. Nic nie dało również poszukiwanie wykonawcy górnej szczęki zmarłego, bo klinik dentystycznych robiących takie rzeczy jest od groma i ciut ciut. Jedyłą nadzieję na jakiś sukces w poszukiwaniach dawała karta telefoniczna i złoty sygnet z herbem „jelita”. O’Mlettowi jako Amerykaninowi ten szczegół mówił niewiele, więc w jego imieniu Charuj zadzwonił do kolegi mocnego w heraldyce i dowiedział się, że „jelita” lub inaczej „koźlerogi” nosiło w Polsce i na Litwie kilkadziesiąt rodzin, między innymi Michałowscy, Zamojscy i Żeromscy, że herb wywodzi się z czasów łokietkowych, z okresu bitwy pod Płowcami i przedstawia na tarczy trzy skrzyżowane kopie w czerwonym polu.

– Ci to znać, że ten zwłok jest duży hrabia, znać arystokrat? – spytał komisarz gdy Charuj zaznajomił go z opinią heraldyka.

– Kiedyś pewnie by znaczyło, ale teraz nic nie znaczy – Charuj starał się przybliżyć O'Mlettowi ten zawiły problem. – Każdy nowobogacki bubek może kupić sobie taki sygnet u złotnika czy grawera i szpanować nim skolko ugodno. Krótko mówiąc: noszenie sygnetu nie zawsze świadczy o szlacheckim pochodzeniu rodziny, a afiszowanie się nim w dzisiejszych czasach najczęściej jest dowodem prostactwa. Prawdziwy arystokrata nie informuje wszystkich naokoło, że nim jest. Skapowałeś mniej więcej?

– Yes, to jakiego dowoda my mamy od ten ring?

– Jedyną informacją jest to, że facet z jakiegoś powodu nosił sygnet. Może rodowy, a może tylko dla szpanu, co jest bardziej prawdopodobne. Nic poza tym.

Najbardziej niepokojącą okolicznością był fakt, że nikt denata nie szukał. Nie było żadnego zgłoszenia ze strony rodziny, a przecież jakichś bliskich denat musiał mieć, nie było również żadnych niepokojących informacji od organizacji samorządowych czy ze strony społecznej. Nie było nawet plotek. Jedyną głośniejszą sprawą w okresie ostatnich dwóch tygodni było nagłe zejście z tego świata senatora Papucia, który przeniósł się do wieczności na skutek przypadkowo nadmiernego spożycia węglowodanów. Co prawda niektóre, niechęt-

ne mu siły polityczne twierdziły, że polityk zakłęczał się na śmierć na zbyt zimnym kamieniu i bez poduszki pod kolanami, ale nie dawano temu wiary. W każdym razie, co by nie było przyczyną niepowetowanej straty, powstał vacat, który należało pilnie obsadzić w drodze wyborów w okręgu północnopodlaskim, z którego zmarły pochodził.

Sprawa nie miała związku z odkryciem zwłok na śmietniku, mimo to Charuj postanowił omówić ją z komisarzem, jako że tonący każdej dziurawej brzytwy się chwyta. Przełożony, inspektor Strzypiur, nie ponaglał ich jeszcze co prawda, ale z doświadczenia wiedzieli, że jutro – pojutrze atak nastąpi.

O'Mlett przez minutę przemyślał sprawę i w końcu stwierdził: – Ja rozumiem, że jeden senator jest deed i nesesery wybrać drugi senator. Normal kondejszyn. Ale jaki on mać wspólna sprawa z ten zwłok od szmietnika?

– Pozornie żadną – Charuj skrzywił się powątpiewająco – może tylko taką, że teraz zacznie się wyścig szczurów do stanowiska po zmarłym, ale to tylko daleka hipoteza.

– Ty myszli, że ten zwłok ze szmetnika może być taki wyścigowy szczur?

– Nie mam pojęcia, nic na to nie wskazuje. Po prostu szukam w głowie jakiegoś punktu zaczepienia, bo my dalej nic nie wiemy, a inspektor ani chybi łby nam zaraz pourywa.

Wszakże komisarz uczeplił się tej koncepcji. – Jeżeli on wyszczygowy szczur, to on polityk. Jeżeli on polityk to on muszy być w parlamencky katalog. Może my szukać w parlament?

– Ale jak ich w sejmie o to zapytać? Nawet rysopisu nie mamy, ani portretu pamięciowego, a zdjęcia im pokazać nie można, bo się tylko przerażą i zaczną wrzeszczeć, że policja nic nie potrafi. Zresztą ja bym z politykami w ogóle uważał, bo łatwo zostać oskarżonym o jakąś prowokację czy inne naruszenie dóbr osobistych. Oni tylko tym żyją.

Specje od telefonów komórkowych po długich i ciężkich cierpieniach ustalili, że adresatem pięciu połączeń z aparatu Aldony Pieścik była niejaka Waleria Będz, właścicielka pokoju do wynajęcia w podwarszawskiej Kobyłce. Miejscowi policjanci, którzy udali się na miejsce, nie bez trudu ustalili, że Waleria Będz ma osiemdziesiąt cztery lata, nic jej nie wiadomo aby kiedykolwiek miała telefon komórkowy, słabo widzi, prawie nic nie słyszy i kojarzy ze znacznym opóźnieniem. Pokój do wynajęcia, owszem, ma, ale wynajmuje go student, który od dwóch tygodni przebywa za granicą. Co ten człowiek studiuje, dokąd pojechał i jak się dokładnie nazywa – pani Waleria nie wie, a zapamiętała tylko, że jest na ogół grzeczny, upija się tylko trzy razy tygodniowo, szyb nie tłucze, a na imię ma zdaje się Jasio. Żadnej umowy o wynajem z nim nie spi-

sywała i nic jej nie wiadomo o istnieniu jakiegś tam Aldony Pieścik. Więcej może wiedzieć córka pani Walerii, ale niekoniecznie, bo w Kobyłce bywa z rzadka, jako że za każdy kontakt z matką męż ją tłucze bo ma alergię na teściową, a mieszka gdzieś za Pruszkowem, ale gdzie dokładnie, to pani Waleria nie wie. Na imię córce Gienia, a na nazwisko, to pani Waleria wiedziała, ale zapomniała, bo jakoś tak dziwnie. Poproszona o pokazanie pokoju studenta zwlokła się z wersalki i zaprowadziła ich na piętérko. Klitka okazała się całkiem pusta i niezamiatana chyba od miesiąca. Całe wyposażenie stanowił ubogi tapczanik, stolik na trzech nogach, krzesółko z połamanym oparciem i szafa, w której nie było nic prócz kurzu, ośmiu pustych butelek po wódce, złamanego widelca i dwóch plastikowych wieszaków.

Interpelowana o kontakty studenta lokatora pani Waleria wyjaśniła, że przychodzili do niego różni tacy, ale nikogo nie bili, za dużo nie przeklinali, a jeden, taki starszy, to jej nawet raz dzień dobry powiedział.

Policjanci pokiwali głowami i wrócili do swoich zajęć, obojętni na to, że stolica czeka na wyczerpujące informacje.

– A co? Mielim tę zapodaną babcię w celu zeznań do gniazdka podłączyć? – stwierdził jeden z nich w odpowiedzi na lekką przyganę Charuja, który oczekiwał czegoś więcej.

Poszukiwanie pani Gieni mieszkającej za Pruszkowem i mającej nerwowego męża miało się z celem, tym bardziej że istniała usprawiedliwiona wątpliwość co do zakresu jej wiedzy.

W tej sytuacji trudno było ustalić, kto personalnie dzwonił na komórkę Aldony Pieścik, bo chyba nie babka. W kręgu podejrzenia pozostawał student, który podobno wyjechał, ale nie da się sprawdzić czy na pewno, córka Gienia i jej agresywny mąż, względnie jeszcze jakiś tajemniczy ktoś, o którym nic nie wiadomo.

Spece od telefonów komórkowych dalej łamali sobie głowę nad dziewiętnastoma połączeniami wychodzącymi z komórki Aldony Pieścik i jak na razie nic im z tego nie wychodziło. Bilingi wskazywały w większości na nieistniejące numery lub niepodjęcie kontaktu i tylko cztery rozmowy dawały jakąś nadzieję. Dwie z nich okazały się kretyńską dyskusją z zegarynką, jedna była nieudaną próbą uproszczonego załadowania konta, a tylko jedna, trzecia z kolei wśród dwudziestu czterech połączeń, dotyczyła wezwania taksówki.

Charuj natychmiast zadzwonił do korporacji „Vist”, przedstawił się i zażądał dokładnych informacji. Panienska po drugiej stronie drutu początkowo chciała wysłać go na drzewo, później zastąpiła się tajemnicą służbową, w końcu jednak uległa i po długim poszukiwaniu zakomunikowała, że koleżanka przyjmująca tamto zlece-

nie właśnie jest chora, a z przestuchania taśmy wynika, że usługa nie została zrealizowana.

– Czemu? – spytał zmęczony oczekiwaniem aspirant.

– Bo ten pan był chyba pijany, nie chciał podać nazwiska, awanturował się, krzychał że nam pokaże, w końcu podał tylko miejsce, a gdy taksówkarz tam podjechał to okazało się, że to szczyry las i taki adres w ogóle nie istnieje.

– A dokąd kazał podjechać?

– Na Bonifratego dwieście pięćdziesiąt sześć.

– Przecież nie ma takiej ulicy!

– No właśnie. Taksówkarz też tak powiedział – beznamiętnie stwierdziła panienska.

– No to jak taksówkarz znalazł adres, skoro taki nie istnieje?

– Na Bonifraterskiej ani na Bonifacego nie ma takich dużych numerów, to pojechał na Bonapartego. Koleżanka dzwoniła do tego zamawiającego, ale nie odpowiadał, no to co mieliśmy zrobić? Anulowaliśmy zlecenie i już.

– A on później do was nie dzwonił z reklamacją?

– Nie.

W tej sytuacji Charuj postanowił darować sobie poszukiwanie taksówkarza, bo to i tak nic by do sprawy nie wniosło, nawet gdyby go znalazł.

– Ślag by to welky trafił – podsumował komisarz, w napięciu obserwujący usiłowania Charuja. – W taki mały kraj nie może być, żeby pręko nie ośukać jeden człówek.

– Odszukać jednego człowieka – poprawił Charuj – odszukać a nie oszukać. Oszukać to znaczy wykiwać, zrobić w jajo. Kapewu?

– Topsie, otśukać – zgodził się O’Mlett – cały Polska tugeder to oł pipł raptem cztery Niu Yorki. Tu dejs i każdy muszy otśukany, nawet jak szedzi w jaka mysia dziura! A ta wasza... znaczy nasza polis co? Śuka, śuka i nie otśuka.

– Jak byście w tym waszym Niu Jorku znaleźli takiego dziwnego trupa, to też nie bylibyście mądrzejsi. Chyba że całą populację macie zaczipowaną jak psy rasowe!

– To mozie signal dać do press i do tiwi, że się siuka i dawa duzio dolars prajz, znać wynadgrody?

– I co podamy w tym anonsie? Ani rysopisu nie mamy, ani portretu, ani adresu, nawet w przybliżeniu. Jedno co mamy, to kod DNA i nienotowane odciski.

Godzinę później zgłosiła się do nich koleżanka od narkotyków i poinformowała, że poszukiwanym przez nich studentem z Kobyłki może być niejaki Jan Małopanek, ksywa „małpa”, średniodrobny diler, robiący w grupie bossa o pseudonimie „lapaloma”.

– A tego „lapalomę” macie namierzonego? – spytał Charuj.

– Niestety nie. Nikt nie wie, kto to jest, nikt go nie widział i nawet z grubsza nie wiemy jak wygląda, gdzie mieszka ani czym jeździ. Dwie nakryte płotki z jego ferajny milczą jak zakłète, bo podobno gość ma strasznie długie łapy i nawet w puszczy amazońskiej delikwenta znajdzie.

– A ten „małpa” to rzeczywiście wyjechał za granicę?

– A jak to, chłopie, ustalisz? Mamy Szengen, to mógł przejść na piechotę pod byle krzakiem, nie musiał korzystać z dworca albo lotniska. I co? Będziemy za tym drobnoustrojem interpol ruszać w dwudziestu pięciu krajach? Jak przypadkiem gdzieś wpadnie, to i tak go nam oddadzą. Poza tym jak powiedział tej babci, że wyjeżdża za granicę, to prawie pewne, że nie wyjechał tylko siedzi w kraju w jakiejś dziurze. Typowa zmyłka.

Tymczasem koledzy O'Mletta i Charuja zajmujący się poszukiwaniem śmieciarki, która przywiozła zwałkowane zwłoki na wysypisko, doszli do wniosku, że dostarczono je w kontenerze, a nie we wnętrzu samochodu opróżniającego zawartość śmietników, bo wówczas delikwent byłby dokumentnie zmiełony. Zachowanie całości plastikowego worka i jego nienaruszonej zawartości dowodziło ich zdaniem, że szczątki wrzucono do ulicznego kontenera, ustawianego specjalnie na przykład w celu gromadzenia odpadków poremontowych lub pochodzą-

cych z innych prac porządkowych. Takie kontenery dostarczają na miejsce i zabierają różne firmy, wobec czego skoncentrowano się na ustaleniu, która z nich akurat tego dnia zajmowała się wywózką.

Po wielogodzinnych poszukiwaniach ustalono, że jedyną firmą, która w dzień poprzedzający odkrycie zwłok wywoziła wypełniony kontener było przedsiębiorstwo „Paproch” świadczące usługi na rzecz władz dzielnicowych.

Pojemnik wywieziono podobno z alei parkowej znajdującej się na podmiejskim terenie rekreacyjnym, gdzie ta sama ekipa umieściła go trzy dni wcześniej.

– A co tam zbierano w tym kontenerze? – zainteresował się Charuj.

– Podobno puszki po piwie, butelki po wódce i psie kupy. Teraz jest taka akcja, że psy mają srać na rozkaz w miejscach specjalnie wyznaczonych, ogrodzonych płotkiem z tabliczką – beznamiętnie poinformował sierżant, który przyniósł wiadomość, nawet nie bardzo zdziwiony urzędową głupotą władz municypalnych.

– A jak pes nie umi czytać, to co? – zaniepokoił się komisarz.

– To niech idzie do szkoły – ponuro i prawie poważnie odrzekł Charuj – minister edukacji zapłaci za naukę solidarnie z ministrem kultury, w porozumieniu z głównym weterynarzem i związkami

kynologicznym oczywiście, po zatwierdzeniu przez Sejm, Senat i wszystkich świętych.

– To chyba taniej pozberać kupy niż robić płacenie za trening dryll pśez minister – równie prawie poważnie odrzekł O’Mlett.

– Jak pies nie przeczyta, bo nie umie albo zapomniał zabrać z domu okularów, to właściciel ma obowiązek zapoznać się z informacją i wytłumaczyć psu, że ma srać wyłącznie w tym ogródeczku metr na metr, wystawionym na powszechną inwigilację. A pies ma też swoją godność, a żywotnych interesów broni warczeniem albo i zębami jak każdy polityk.

– Yes, yt ys biutyful paranoja.

– No, sam widzisz. Pies też człowiek.

Nie było innego wyjścia, jak tylko ocenić sytuację na miejscu, wsiedli więc do samochodu i udali się do tego parku, gdzie wystawiono kontener. Skwerek był spory, tak na oko ze dwa hektary powierzchni, w połowie zakrzaczony, tu i ówdzie obficie pokryty papierami, wszelkim śmieciem i tłuczonym szkłem. Żadne ślady nie wskazywały na to, aby ktoś tu sprzątał przez ostatni kwartał. Jedyнным elementem potwierdzającym jakąkolwiek działalność służb porządkowych był brak liści opadłych z krzaków, których suche badyle sterczały smętnie z pożółkłych resztek rachitycznej trawy. Na środku widniał ogrodzony drutem i sztachetami maleńki placyk, a na płocie

wisiał wymalowany na przemokniętej tekturze krzywy napis o treści: „toaleta dla psuf”. Po terenie, ale poza placykiem toaletowym, kręciły się trzy psy różnej maści i dwie babcie z wnuczkami, mające o coś pretensję zarówno do psów jak i do siebie wzajemnie. Deszcz szczęśliwie nie padał, więc bez kłopotów znaleźli wygniecione na ścieżce miejsce po kontenerze, ale nic im to nie dało, bo teren wokół zaśmiecony był mniej więcej tak samo, jak i wszędzie.

– No i gdzie tam autem wjeżdżacie, chuligany jedne! – zaatakowała ich bliższa z babć – że też kary boskiej na takich nie ma! Mało jejim miejsca na ulicy? Psy tu łażom, ptaki srajom, robale jakieś na trawnikach! A wytruć raz to wszystko i będzie spokój. A tak dziecko nie ma gdzie spokojnie się wypaść!

– A w domu pospać nie może? – nieopatrznie zapytał Charuj.

Babcia zapieniła się dokumentnie. Darła się tak, że obudziłaby nie tylko dziecko, ale i denata po sekcji. Z jej emocjonalnego exposé wynikało niezbitcie, że O’Mlett z Charujem to ateści, Żydzi, masoni, zagorzali propagatorzy aborcji i eutanazji, geje oraz mafiozi, i że cierpią na niedowład umysłowy, bo nie słuchają nauczania ojca dyrektora w kwestii polityki prorodzinnej. Następnie z czysto katolicką miłością bliźniego potraktowała ich szpikulcem od parasolki, cytując przy tym co celniejsze przemyślenia filozoficzne jednego prałata z Gdańska.

Porażeni oczywistą oczywistością tej prawdy policjanci wycofali się z parkowej alejki, tym bardziej że i tak nie mieli tam czego szukać.

Wzdłuż skwerka z jednej strony przebiegała półpasmowa, wielodziurowa Aleja Bojowników Za Sprawę, z drugiej strony znajdował się od piętnastu lat otwarty na inwestycje teren po byłym boisku byłego klubu piłkarskiego „Zwycięstwo”, dawniej „KS Tapicer”, z trzeciej strony biegła droga gruntowa w budowie pierwszej kategorii odśnieżania, a z czwartej znajdowały się trzy posesje z trzema willami wzniesionymi w trzech różnych stylach.

Pierwsza z brzegu, licząc od strony Alei, była pusta i ździebko okradzona, bo jej właściciel, cyngiel mafijny o ksywie „klamka”, od kilku lat siedział i w najbliższym czasie nie zamierzał powrócić na stare śmieci, tym bardziej że połowę rodziny mu już przedtem przypadkowo i przez pomyłkę wystrzelano, a druga połowa wyemigrowała w nieznanym kierunku.

W drugiej, bogato zdobionej w łuki, stiuki i lusterka powklejane w tynk, mieszkał poseł koalicyjny z rodziną, sprowadzony przed rokiem z jakiejś dziury w suwalskiem, gdzie był kierownikiem byłego gieesu. Wobec tego obiekt był dubeltowo strzeżony i żaden niesprawdzony ideologicznie przechodzień nie miał prawa nawet zbliżyć się do płotu. Poseł przez pół roku kupił willę z pensji, co

było możliwe, gdyż intensywnie służył ojczyźnie swą głęboką wiedzą czterdzieści osiem godzin na dobę.

W trzecim wreszcie pałacyku, utrzymanym w stylu „nowobogacki zamek krzyżacki”, egzystowała całkiem nieźle prosperująca agencja towarzyska, również dyskretnie pilnowana przez pluton łysych osiłeków. Było to na rękę posłowi, bo łysi mieli przy okazji oko na jego teren i wspomagali w czynnościach siły rządowe. Żona posła miała co prawda o coś tam do niego jakąś pretensję, ale ustalono, że to tylko plotki celowo rozpowszechniane przez zakłamaną opozycję, a w ogóle woda na młyn odwetowców z przeciwka.

O'Mlett i Charuj dowiedzieli się tego wszystkiego od podstarzałego policjanta na emeryturze, którego spotkali przypadkiem gdy wyprowadzał na skwerek swojego, również niemłodego psa.

– Musicie śmierdzieć komendą, skoro on ma do was zaufanie – powiedział do nich policjant, gdy jego pies podszedł do nich z merdaniem. – Normalnie to wobec obcych jest wyniosły jak sam arcybiskup.

– A to pies służbowy? – spytał aspirant.

– Był, odsłużył swoje i jest na emeryturze, tak jak ja. Siad, Bill!

– A ty mieszkasz tu gdzieś w pobliżu, że tak dobrze znasz okolice?

– Jakieś pół kilometra stąd. Tego „klamkę” tośmy obaj z Bilem drutowali, do dzisiaj jak obok jego chałupy przechodzi to się jeży. Ma chłop pamięć. Wtedy to o mała „klamki” nie zagryzł, bo kretyn sięgnął po kopyto. Nie wiedział, sirota jedna, z kim ma przyjemność.

– Widzimy, że dobrze znasz tę okolicę, to powiedz nam coś o tych dwóch pozostałych posesjach – Charuj bardziej z zawodowej ciekawości niż z aktualnej potrzeby postanowił dowiedzieć się czegoś więcej, no bo nawet w stercie plotek znajdzie się jakieś ziarno prawdy.

– Ja też proszę – poparł kolegę komisarz, czym wywołał lekką zmarszczkę uśmiechu na twarzy policjanta.

– W tej drugiej willi od lewej – odrzekł emeryt rad z zainteresowania – od dwóch przeszło lat mieszka poseł, Bambetel niejaki. Sam jest dość spokojny, ale żonę ma cholere, taką nuworyszkę z pretensjami, że mózg się lasuje. Do sklepu po marchewkę jeździ wyłącznie samochodem z obstawą, a perfumami to tak się polewa, że cała ulica śmierdzi. Dwie córki mają, takie same jak matka. Nawet majtki muszą mieć od Armaniego, a po polsku słabo mówią.

– Takie poliglotki?

– Nieee. Niedouczone. Takie wyrażanse made in wiocha, i to daleko od szosy. Prawidłowo to im się ochrona nie należy, ale

skądś obstawa zawsze jest. Przynajmniej jeden cichociemny stale tam się snuje, a bywa że i dwóch.

– No, dobra. A w tym trzecim domu też jakiś możnowładca?

– Nie. Tam jest burdel, jak to się teraz nazywa, agencja towarzyska. Panienki na telefon albo i na miejscu. Ochrona tam większa niż u tego posta, podejrzewam, że też z bronią. Takie samochody tam, kochani, podjeżdżają, jakich jeszcze nie widzieliście. Ale tak ogólnie to spokojnie jest, żadnych wrzasków ani głośnej muzyki. Czasem tylko jakimś przechodniowi mordę obją, jak się nieopatrznie w pobliże po pijaku zapłaczę. Ten poseł, jak się tu sprowadził, to nawet na policję zgłaszał, żeby ten bajzel zlikwidować, podobno żona mu kazała, ale potem jakoś ucichli. Wygląda na to, że w zgodzie żyją, zresztą cholera wie, do kogo ta agencja należy. Posesja jest jakiejś Kowalskiej, której tu nikt nigdy nie widział. Nawet jak ten zamek urządzali, to wszystko załatwiał adwokat. Też go podobno ktoś stuknął, ale to nic pewnego. Te panienki, co tu robią, to były niedawno spisane przez obyczajówkę, ale już się może od tego czasu pozmiały, bo w tym zawodzie jest cholerna rotacja. Naturalna, można powiedzieć.

– A jaki tu w ogóle jest adres? – Zainteresował się aspirant.

– Bojowników dwadzieścia pięć, a może dwadzieścia sześć. Czort znajet czy to strona parzysty czy nieparzysty, bo jest tylko jedna. Z drugiej strony krzaki.

Charujowi coś ten adres przypominał, ale nie wiedział dokładnie – co. Przez chwilę szukał w głowie, ale nie znalazł, więc pogadali z emerytem jeszcze przez chwilę, pogłaskali psa i odjechali. Po drodze minęli babcię z wózkiem, która tym razem darła się na jakiegoś łysego dresiarza siusiającego pod krzakiem.

– No i nic nam ta wycieczka nie dała – stwierdził ze smutkiem aspirant. – Ani chybi inspektor łeb nam urwie, bo śledztwo stoi i ani drgnie. Jedno, co możemy zrobić, tak bardziej dla porządku, to popatrzeć na spis tych panienek w obyczajówce. Ja skądś znam ten adres, może nam się coś skojarzy? A ty jak myślisz, szefie?

– Ćeba! Panenki od telefon trupa ważne. Lepsi co roby od ten, co nie roby.

W obyczajówce szukali pół dnia, ale znaleźli. Dziewczyny posługiwały się samymi imionami, w dodatku nie wiadomo, czy prawdziwymi, ale w stosunku do trzech udało się z zaskoczenia ustalić prawdę obiektywną. Były to: Przybrykalska Marzenna, Pipsztak Beata i Pieścik Aldona. Charuj, gdy to tylko przeczytał, zaryczał z zachwytem.

– Stary! Sukces! Mamy właścicielkę komórki od karty połkniętej przez tego zwałkowańca! Tylko żeby ona jeszcze pracowała w tym burdelu, bo jak nie, to znowu nam się ogon urwie.

– Ty czyta z uwagą, ci to nie dżywne? Tri nazwiski od tri łymen i wszystka tri na „P”?

– Faktycznie. Ale może to przypadek? Przecież Pieścik to nie żadna ksywa, ale rzeczywiste nazwisko, to pewnie i pozostałe dwa są prawdziwe.

– Może prawdziwe, może not. My kambek na ten garden.

Wrócili na uliczkę przy skwerku. Było już ciemno, jak to zwykle w późne październikowe popołudnie, a mimo to w Alei Bojowników Za Sprawę nie paliła się żadna z czterech latarni. Zamek krzyżacki stał cichy i prawie ciemny, tylko na pierwszym piętrze budynku matowo świeciły trzy okna, widać przysłonięte od wewnątrz grubymi zasłonami. O'Mlett z Charujem zostawili samochód przy stalowym płocie i zadzwonili do solidnej furty, zaopatrzonej w ozdobną, kutą kratę. Po minucie ze skrzynki domofonu dobiegł ich zachrypnięty baryton:

– Tak?

– Proszę otworzyć, policja – spokojnie powiedział Charuj.

– Zara.

Upłynęły może ze trzy minuty, gdy odezwał się w końcu brzęczyk zamka. Komisarz pchnął furtę i weszli do środka. Na podjeździe przyjął ich krótko ostrzyżony, wysoki byczek w czarnym dresie, zasłaniając zwalistą postacią solidne drzwi prowadzące do wnętrza.

– O co się rozchodzi? – zapytał chrapliwie – nakaz macie?

– Nakaz to nie problem, na razie mamy pytanie – zimno odrzekł aspirant.

– Jakie pytanie?

– Proste. Aldona Pieścik jest?

– Nie znam takiej – warknął ochroniarz.

– Znasz. Odpowiadaj, jest?

– Jest czy nie jest, bez nakazu nie wejdziecie.

– Zawołasz ją po dobroci, czy chcesz tu mieć ateków? – prawie szeptem powiedział Charuj.

Niemal widać było, jak osiłek namyśla się uruchamiając intensywnie swoje ubogie zwoje. Fakt ten mógł dowodzić, że Aldona Pieścik znajduje się w budynku i że oprócz niej może tam być ktoś, kogo ujawnienie mogłoby być dla tej szacownej instytucji niekorzystne. W tej sytuacji Charuj postanowił nie dać ochroniarzowi szansy na kolejny unik. Sięgnął po komórkę, udał że się z kimś łączy i powiedział rozkazująco. – Zaczekaj na sygnał i możecie wchodzić!

– Dobra, zawołam ją – zdecydował goryl i ruszył w stronę drzwi.

– Pospiesz się, nie masz czasu – zimno ponaglił go aspirant.

Po minucie w drzwiach ukazało się płowowłose dziewczę, umalowane jak jajko wielkanocne i odziane w zwiewny szlafroczek, prowadzone pod rękę przez tego samego ochroniarza.

– Jak się nazywasz? – spytał Charuj.

– Aldona.

– A nazwisko?

– Pieścik.

– Masz jakiś dowód? Ubierz się, bo zimno, weź dowód i wróć.
Nie bój się, chcemy z tobą tylko pogadać.

– O czym? – z niepokojem zapytała panienka.

– Twoja babka w Parzęczewie nie wie, co się z tobą dzieje – wykrętnie odrzekł aspirant.

– O kurczę, co starej odbiło – westchnęła dziewczyna i znikła za drzwiami. Goryl został na zewnątrz oparty o framugę i spode łba milcząco obserwował policjantów, roztrząsając w myślach zawiły problem, czy dla tak błachego powodu opłacałoby się im wzywać antyterrorystów.

Dziewczę wyszło po chwili odziane w obciste spodnie, kowbojskie buty i króciutkie futerko ze sztucznej mały. Zabrali ją za bramę i wsadzili do samochodu, którego szczęśliwie nikt nie ukradł. Charuj wycofał tojotę ze trzydzieści metrów, poza zasięg widoczności z terenu agencji, a na pytające spojrzenie O'Mletta, mruknął krótko: – Zaczekajmy, może się ktoś pokaże.

Rzeczywiście, po chwili furta uchyliła się, wyszedł przez nią jakiś człowiek i szybkim krokiem zmierzał w kierunku Alei. Policjant wystartował gwałtownie, dogonił go i zajechał mu drogę.

– Co pan tu robi po ciemku? Policja, dokumenty proszę! – powiedział zdecydowanym tonem ukazując legitymację.

– Co to? Jakim prawem? To jest napad! Ja wam jeszcze pokażę, z roboty was wypieprzę! Czy wy wiecie, kim ja jestem? Ja się z wami, łobuzami, policzę! Ja jestem postem! – po wielkopańsku zachnął się zatrzymany.

– Aaa, to najmocniej pana przepraszam – układnie odparł Charuj, usiadł za kierownicą i patrzył, jak zdenerwowany mężczyzna dopadł do furtki następnego domu za agencją, otworzył ją kluczem wyjętym z kieszeni i zniknął w środku.

– No to mieliśmy przyjemność spotkania z panem postem Bambetlem – powiedział aspirant do O’Mletta i uśmiechnął się niewinnie widząc okrągłe z przerażenia oczy panny Aldony Pieścik – a teraz nam powiesz, złotko, bardzo dokładnie, co ten pan u was robił, od jak dawna go znasz i gdzie masz swój telefon komórkowy.

W komendzie Aldona Pieścik usiłowała początkowo trochę się stawiać, licząc zapewne na interwencję możnych sponsorów, ale Charuj szybko sprowadził ją na ziemię. – Nie podskakuj, mała – powiedział pobłaźliwie. – Twoi ważni kochankowie bardziej dbają o swoją skórę niż o twoją.

Z zeznań panienki wynikało, że pięć dni temu telefon komórkowy albo zgubiła, albo ktoś jej ukradł, ale za czorta nie chciała powie-

dzieć – kto. Może rzeczywiście nie wiedziała, bo trzęsa się, ale szła w zaparte. Posła Bambetla znała od miesiąca, czyli od czasu zatrudnienia, jeśli tak można powiedzieć, w agencji. Wprowadził ją tam przystojny brunet, ksywa „włoch”, szefa agencji nie zna i nigdy go nie widziała, ale od ochroniarzy wie, że musi to być ktoś znaczny, bo często odwiedzał go jeden ważny senator, a z nim taki drugi, co mówili na niego „kapusta”. Też podobno jakiś prezes czy inny minister. Zachodził też ten Bambetel z sąsiedztwa i przyprowadzał jeszcze jednego ważniaka, podobno „z terenu”, jak o nim mówili. Nazywał się tak jakoś śmiesznie, od psa. Śmiali się z niego, że to pies na baby. Razem ci goście zdrowo popijali w salce bankietowej, ale zawsze sami, bo dziewczyn tam nie wpuszczano. Nawet żarcie i wódę przynosił tylko szef ochrony, Zbyniek z krzywą mordą, ksywa „tajson”.

– A jak nazywa się ten senator, co odwiedzał szefa agencji? – spytał Charuj.

– Podobnież Papcio, czy jakoś tak, ale detalicznie to ja nie wiem. Przecież jak siem przychodzi na ten... no... masaż, to siem nazwiskamy nie rzuca, robi siem swoje i okiej.

Aldonkę przetrzymano do rana, ale trzeba było ją wypuścić, bo na jakiś zarzut żaden prokurator by się nie zdecydował.

O’Mlett z Charujem przez godzinę debatowali nad dalszym planem śledztwa i, co gorsza, nie doszli do żadnego konstruktywnego

wniosku. Dalej nie wiedzieli kim był ten zwałkowany trup, ani co go doprowadziło do takiego stanu, a zeznania Aldony Pieścik utwierdziły ich tylko w przekonaniu, że niektórzy politycy mają powiązania z półświadkiem, co do czego nie mieli wątpliwości i przedtem.

Łamiąc sobie głowę nad znalezieniem jakiegoś elementu, który choćby o włos przybliżył ich do rozwiązania sprawy, O'Mlett uczeplił się faktu, że zgubiona czy ukradziona komórka Aldony Pieścik być może znalazła się w posiadaniu „ich” trupa, skoro ten połknął kartę.

– On połykuje kartę, znać on ją wyjma z aparat. Yes? On ją wyjma, znać on ma aparat in dy tajm, co wyjma i połykuje. Yes? Lejter on co roby? Zniścza aparat? Łaj? A po kolere! Aparat is gud. Znać może bycz tak: Ten, co go zwałkuje, chce posiadać jego aparat. On jemu parso poćebny. Po co poćebny? Bo tam ważny wiadomoszcz! Zwłok wyjma kartę i połykuje, ale ten, co zwałkuje, o tym nie wie i zabieruje aparat bez karta. Nie ma wiadomoszcz, to on aparat zniśća. Yes?

– No, dobra. Ale co z tego wynika?

– Wynika, dlaćego w ten worek psi zwłoku nie ma aparata. Ćeba wiedzieć, ćego ważny wiadomoszcz się tyka.

Charuj nagle otwartą dłonią walnął się w czoło. – Czy przypominasz sobie, szefie, że jakiś czas temu, niedawno zdaje się, przekreślił się niespodziewanie jeden senator, o ile dobrze pamiętam, Pa-

puć. A ta Aldonka, cośmy ją godzinę temu wypuścili, wspominała coś o senatorze Pypciu, czy jakoś tak, który bywał w tym burdelu. Jeżeli to jest ta sama osoba, to sprawa może dotyczyć obsadzenia wakatu po nim. Ci wszyscy panowie pewnie znali się jak tyse konie, a ten cały poseł Bambetel też pochodzi gdzieś tam z północnego wschodu. Skojarzyłeś?

Siedli, by dogłębnie rozważyć sprawę, gdy wezwano ich do inspektora.

– No i co dalej, panowie? – spytał inspektor Strzypiur obracając w palcach krzywo zatemperowany ołówek. – Dni lecą, a wy jakoś nic. Wiecie, rozumiecie kryminologia poucza, że najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin, a tu co, proszę ja was, znaczy nic!

– Właśnie chyba okazuje się, że jednak coś – za obu poinformowałam Charuj.

– To dobrze, bo ja mam interwencję z kierownictwa partii koalicyjnej, wiecie, rozumiecie, że podobno wczoraj w nocy jacyś policjanci brutalnie napadli na Bogu ducha winnego posła, pobili go, ciężko znieważyli mu godność, obrazili jego uczucia religijne, potrącili samochodem i naruszyli mir domowy. Opis sprawców wskazuje na was, więc ja żądam wyjaśnień. Jeżeli to wy, to oczekuję szczegółowego raportu!

– Yes, to my – spokojnie i z uśmiechem odrzekł O’Mlett. – A było tak, aszpyrant zacimał osobnyka nie samochodem, a piesio. Znie-waziali nie my, a osobnyk nas. Mir domowy nie rusiali, bo było na ulicy, a začimali go, bo on wychodzy w wećór z biurdelu, w ja-kim my mamy śledztwo i pręko umykuje pod płotem, jak jaky rat... znaći ściur. My chcieli wiedzieć, hu is hu. Jak on mówy, że poseł, to aszpyrant psiepraša i się cofuje. A osobnyk ważny w śledztwo, a ćemu, pan inspiktor sam pręko zobaći.

– Jak się ten osobnik nazywał? – spytał inspektor po wysłucha-niu relacji.

– Poseł Bambetel – krótko odrzekł Charuj.

– Pokazał legitymację?

– Skądże, nic nie pokazał, z miejsca nam nawymyślał i nawygra-żał, że nas załatwi. Widać sumienie ma nieczyste skoro robi szum profilaktycznie, więc wynika z tego, że mamy rację włączając go do sprawy.

– To skąd wiecie, że ten zatrzymany to poseł Bambetel?

– Bo facet otworzył furtkę własnym kluczem wyjętym z kieszeni i wszedł do swojego domu, w którego drzwiach stał akurat jego ochroniarz.

– I zrobił to w czasie, kiedy wyście go podobno bili i naruszali jego mir domowy? A ten ochroniarz co? Tak sobie stał i nic?

– Dokładnie.

– Napiszcie to wszystko w raporcie – dużo spokojniej powiedzia! inspektor – ja musz! mie! argumenty, a na przysz!o! to wiecie, rozumiecie, z politykami lepiej uwa!ajcie.

Po przedstawieniu prze!o!onemu swoich domys!ów i hipotez O'Mlett z partnerem wróci! do siebie i zabrali si! do dalszych do!cia!ó, bo supozycje rzecz cenna, ale trup dalej by! anonimowy.

– Ty myszli – rozpoc!ał komisarz po chwili milczenia – że ony robi! wyszci! ściurów na ten ermczajer po senator Papucz?

– Mo!liwe, bo to dobry sto!ek. Nic si! nie robi, a forsa leci. Ten Bambetel pewno nie bierze w tym udzia!u, bo jest po!em, ale mo!e komu! pomaga!ć, bo pochodzi z tego regionu i ma tam jakie! w!y!wy.

– Mo!e to prawda. No to kto jest ten ściur wyszczygowy?

– Kto!ó, kogo nie znamy. Jak zacznie si! kampania wyborcza na ten sto!ek i og!oszą list! kandydatów, to mo!e si! nam jaka! postać skojarzy.

Dwie godziny pó!niej telewizja poda!a, że wybory uzu!e!niaj!ce na wakuj!ce stanowisko senatora w okr!gu pó!nocno-wschodnim odb!d! si! za tydzie! i że odpad! jeden z trzech kandydatów, znany lobbysta Zenon Bar!óg, który zrezygnowa! z kandydowania z przyczyn zdrowotnych. Pozostali dwaj, a mianowicie Józef Psicki

– katolicki działacz samorządowy i Eustachy Fafuśnik – biznesmen wielobranżowy z Podkarpacia, odbywają spotkania przedwyborcze.

O’Mlett, który aktywnie chłonał wszelkie informacje nadawane przez telewizję i, ku zdziwieniu Charuja, przyjmował je jak prawdę objawioną, po wysłuchaniu komunikatu i minutowym milczeniu raptem postanowił powrócić do zeznań Aldony Pieścik.

– Ci ty pamiętaś o ten biznesmen, co psichadzał do biurdel, co jemu nejm podobny do pies?

– Pamiętam.

– No, gud. W tiwi ony mówią, że jest kandydat nejm Psicki. To on jest od pies? Jak ty myszli?

– Psicki jest od psa, masz rację. Sądzisz, że to ma jakiś związek z tą agencją towarzyską? Może to tylko zbieg okoliczności, taka łaszadinaja familia.

– Że co?

– Końskie nazwisko po rosyjsku. Przepraszam za dygresję, możesz tego nie znać. Taki tytuł nosi rosyjska nowela, której bohater długo przypomina sobie czyjeś nazwisko, a pamięta tylko, że miało ono związek z koniem. Później okazuje się, że facet nazywał się Owsiannikow.

– Ajm dont anderstend...

– No bo Owsianikow to nazwisko nie od konia tylko od owsa. Z koniem ma związek pośredni, ale bohater noweli akurat tak je skojarzył.

– Aha – powiedział komisarz, ale widać było, że wywód Charuja w pełni do niego nie dotarł i dowcip okazał się chybiony. – Ale Psicki jest od psa, a nie od konia! Ci ja to dobrze rozumiemy?

– Tak! oczywiście, że od psa. Masz rację – żywiołowo potwierdził aspirant, aby co rychlej rozładować gęstniejącą sytuację – a ten drugi wymieniony w zeznaniach miał, zdaje się, ksywę „kapusta”, a kapusta to w grypsersze kapuś, donosiciel. Może od tego miał taką ksywę, a może od czegoś całkiem innego.

– Może być od nazwisko?

– Może.

O’Mlett zamilkł na chwilę, a później nagle zmienił temat. – A te drugie na teiting list do Senata, ty popaczaj, on from Podkarpacze, a do Senata on kandydat w całkiem drugi koniec Polski. To tak można?

– Można.

– Biutiful! To tak jakby w JuEsEj kandydat from Kalyfornia wchodzi do kongres od Meins pipł.

– No, mniej więcej – potwierdził Charuj.

– Dobrze, ale co on o Mein wi, kto jego tam znają? To całkiem drugi stan w drugi koniec terytory!

– Pewnie, ale u nas tak można. Jak ktoś raz wsiądzie na karuzelę, to już później wszystko jedno, na którym krzeselku się kręci. Ludziom naopowiada, co to nie robi, choćby przedtem tylko raz tu był przypadkiem z kochanką na wczasach i wdzięczny naród go wybierze. U nas to normalka.

– To sze naziwa prawdziwa demokracja – podsumował O’Mlett.

Zamyślony od paru minut Charuj nagle parsknął śmiechem i na pytające spojrzenie komisarza powiedział z ociąganiem: – No dobra, powiem, chociaż to koncept zupełnie ni z gruszki ni z pietruszki. Moja córka, jak miała trzy lata, to na kapuśniak mówiła fafuśniak. Przyszło mi to do głowy jak usłyszałem ten komunikat w telewizji o wyborach, że Fafuśnik z Podkarpacia i tak dalej. Skoro tak, to Fafuśnik mógłby mieć pseudonim „kapusta”, mogliby go tak na przykład jeszcze w szkole nazywać. Pomysł całkiem durny, ale jak chciałeś, to usłyszałeś.

O’Mlett wszakże podszedł do tego ze śmiertelną powagą. Patrzył na Charuja niewidzącym wzrokiem i prawie słytać było, jak zębátky w mózgu grzechoczą mu z przeciążenia. – Ja myszli, że ty mądry chop, parso mądry – powiedział w końcu z mocą – żadny

durny, żaden paranoj. Co ty mówisz albo prawda, albo nieprawda. Jeżeli nieprawda – no problem, a jeżeli prawda to my może mamy tropa! Bez twojego myślenia po polsku ja weryfikuję dziecko in dy fog.

Doniesiono im telefonicznie z Kobyłki, że pojawił się właśnie Małopanek, ksywa „małpa”, pokręcił się tu i ówdzie, zaszedł nawet do babki, tej Walerii Będz, co mu wynajmowała pokój, a później znowu gdzieś zniknął. Jak go namierzą, to dadzą znać.

Zainspirowani tą wieścią policjanci postanowili zorganizować stałą obserwację agencji towarzyskiej przy Alei Bojowników Za Sprawę 25, a może 26.

Przy nad wyraz trudnym montowaniu tego przedsięwzięcia, bo ludzi do roboty było mało, Charuj uświadomił sobie, że 25 albo 6 jest bardzo podobne do 256, czyli numeru posesji, którą podał świętej pamięci zwałkowany nieboszczyk zamawiając taksówkę. Co prawda wymieniona przez niego ulica Bonifratego w niczym nie przypominała Alei Bojowników, ale mimo to mogło być coś na rzeczy. Przecież zdaniem telefonistki facet musiał być pijany, bo strasznie bełkotał, cholera wie, co mu się we łbie pokręciło. Rozważywszy tę supozycję Charuj podzielił się nią z O’Mlettem, bo stał się odważniejszy w domysłach po ostatniej pochwalce za przenikliwość.

– A kto był ten Bonifrateg, może biskup albo jaki szwenty ofiar rewoliuszyn? – zapytał komisarz, przyzwyczajony już do tego, że w Polsce patronów dobiera się wyłącznie spośród świętych, duchownych, kombatantów ostatniego ćwierćwiecza albo ofiar prawdziwych lub adekwatnych politycznie przeladowań.

– Nie mam pojęcia, nie znam takiego. Nie wiem, czy w ogóle ktoś taki istniał, może to tylko skutek bełkotu tego naszego zaprutego denata.

– Bo może on był bojownik? Może welky patriot i od jego nejm nazywają ta aleja z biurdelem? Ja nie znam Polsky historia, ale jak mówys, że imposejbl...

Zmontowawszy obserwację siedli i podsumowali wyniki. Wyszło im, że agencja towarzyska to prawdopodobnie miejsce kontaktowe w cichej dzielnicy, na uboczu, dobrze strzeżone. Bywał tam poseł Bambetel, ktoś, kogo Aldona zapamiętała jako Papcia, czyli być może świętej pamięci senator Papuć. Spotykali się tam z jakimś „kapustą”, prawdopodobnie biznesmenem Fafuśnikiem, działaczem samorządowym Psickim i szefem agencji o nieustalonym nazwisku. Nie wiedzieli jeszcze, czy rezygnujący z kandydowania na senatora lobbysta Barłóg miał jakiś związek z pozostałymi kandydatami i czy poszukiwany „małpa” z grupy „lalapomy”,

jak i sam „lapaloma”, mają z tą sprawą coś wspólnego. Na jakiś ślad związku wskazywałby telefon wykonany z aparatu rzekomo należącego do Walerii Będz, czyli gospodyni „małpy”, do Aldony Pieścik, a w rzeczywistości prawdopodobnie do „ich” denata. W tej sytuacji nasuwało się więc pytanie, co dokładnie łączyło denata z Aldoną, bo w zgubienie przez nią telefonu Charuj nie bardzo wierzył.

– Kolera, psza mać – stwierdził O’Mlett – my jeszcze musimy dużo śledzi.

– Śledzie tu nie pomogą – zażartował Charuj – pan Zagłoba w takim przypadku rań siemię lniane albo pestki słonecznika.

Aspirant miał w mieście cichą wtyczkę, drobnego, podstarzałego już złodzieja, którego kiedyś uratował przed większym wyrokiem. Teraz postanowił skorzystać z jego usług i obaj z O’Mlitem wyszli by pojechać na spotkanie z informatorem. Ledwie opuścili gmach, opadli ich dziennikarze. Krążyli całą watahą po parkingu goniąc rzecznika prasowego komendy, jak stado wróbli atakujące srokę – złodziejkę. Ujrzawszy komisarza otoczyli go natychmiast, a jakaś młoda gniewna walnęła go w podbródek kostką od mikrofonu i zapisała jadowym sopranikiem:

– Czytonormalneżepolicjabijeiznieważapostów?

– Że co proszę? – z przerażeniem zapytał O’Mlett.

– Prawdażepremiertegoleniwegorząduwieowaszzychstalinowskich metodach?! A jeżeli wietodlaczeгонiereaguje! Czykopianiedzieciposłów touwasrutyna?

Szczęśliwie rzecznik prasowy wydostał się z okrażenia, otrzepał poszarpany mundur i przyszedł im z pomocą. – Żaden przypadek bicia jakiegokolwiek pośła nie miał miejsca, nie wiemy skąd państwo czerpią te informacje – powiedział z mocą.

– My nie zwykliśmy ujawniać naszych informatorów i wydawać ich na żer waszym bezbożnym, postkomunistycznym mocodawcom. – Ponurym tenorem stwierdził bezkoloratkowy redaktor prasy klerykalnej.

– Podatnicy nie chcą być poniżani i napastowani za swoje własne, ciężko zarobione pieniądze! Czy u pana w Ameryce to norma? – Dociekała nobliwa blondynka w średnim wieku, wchodząc O'Mlettowi na plecy, podówczas gdy on powtarzał jak mantrę „sorry, no koment”.

– Społeczeństwomaprawowiedziećktogobijeiponiża – zajazgotała młoda gniewna.

Na parking podjechał okratowany, granatowy volkswagen transporter, więc rój żurnalistów natychmiast rzucił się w jego kierunku licząc na spektakularne wyprowadzenie kogoś w kajdankach, ale z samochodu wysiadł tylko kierowca i wyjął ze środka trzy skrzynki

wody mineralnej. Jakaś nawiedzona reporterka oczywiście chciała wiedzieć, czy to woda dla masowo i brutalnie aresztowanych niewinnych kiboli z ugrupowania narodowego, a jeżeli nie dla nich to dla kogo, po co zaraz taka nieusprawiedliwiona rozrzutność i kto za tę wodę płaci z kieszeni podatników. Ten moment wszakże wystarczył aby O'Mlett z Charujem zdążyli wsiąść do tojoty, którą ostatnio jeździli.

Stary złodziej informator, ksywa „dyndol”, z którym spotkali się w umówionym miejscu, gdy tylko usłyszał, że potrzebny im jest cynk na „lapalomę”, natychmiast zeszywniał, zamilkł i usiłował schować się w jakąś dziurę.

– Kochani, ja mam rodzinę – stwierdził szeptem, choć na pustym placu nie było wokół żywej duszy. – Ja w to nie wchodzę i nikogo o to nie zapytam, bo chcę pożyć. Wy, siroty, nie wiecie, z kim zadzieracie. Toć on własnego cyngla, fachowca jak trza, mało co nie odstrzelił, a jak żeśta go zapuszkowali, to rodzinę mu do nogi na Wólkę wykierował. I za co? A no tylko za to, że se chałupę kupił nie w tej dzielnicy co trzeba.

– A jak się ten cyngiel nazywa? – spytał Charuj.

– To akurat mogicie nadać, bo to wszyscy wiedzą. „Klamka” się nazywa, ale za długo się nie ponazywa. Już na niego dwa razy w pierdlu polowali, ale się na razie spod łopaty chyba wywinął,

bo ostatnio nie polują. Jak tego nie wiecie, to co wy w ogóle wiecie!

– A „małpę” znasz?

– Może znam, może nie znam. Mówiłem wam, że tej dziatki nie ruszam. Ja po ostatniej odsiadce wyszedłem z branży, kwiatki se sadzę na balkonie. W prochach nigdy nie robiłem, bo to szkodzi na cerę, kumpli także samo coraz mniej. Ostatnio takiego, co za dużo chciał wiedzieć, na drucie kolczastym za jaja powiesili. Chyba słyszeliście.

Cóż było robić, pożegnali informatora i wrócili do komendy. Dziennikarzy już nie było, bo podobno na Krakowskim znowu ktoś w drodze na mszę na podgrzewanym marmurze się pośliznął i trzeba było prowadzić dochodzenie prasowe, więc nikogo nie interesowały już te trzy głupie kontenery wody mineralnej „podpłońszczanka”, dowieszone do bufetu własnym transportem.

W komendzie czekała na O'Mletta wiadomość, że do kliniki chirurgii urazowej dowieziono młodą, oćpaną kobietę z połamanymi żebrami i obojczykiem. Sierżant, który informację przyjął, skierował ją do nich, bo wiedział, że poszukiwali ostatnio jakiejś panienki. – Myślałem, że to może was zainteresuje, bo nikomu innemu do żadnej sprawy ta kobita nie pasowała – stwierdził beznamiętnie. Charuj dla porządku zadzwonił do szpitala, ale dowiedział się

tylko, że faktycznie taką przywieźli, że została zaopatrzona, ale na razie jest niekontaktowa i nawet nie wiedzą jak się nazywa, bo żadnych dokumentów przy niej nie było. Aspirant poprosił o informację, gdy ustalą jej tożsamość i odłożył sprawę na półkę.

Obserwacja agencji przy Alei Bojowników Za Sprawę nie przyniosła, jak na razie, żadnych rewelacji. W przeciągu poprzedniego dnia wychodził tylko jeden ochroniarz i po półgodzinie wracał z zakupami, a wieczorem wyszła jakaś para i po przejściu stu metrów wsiedli do samochodu stojącego w Alei i odjechali. Zachowywali się spokojnie i nic obserwatora nie zaniepokoiło, więc nie meldował o tym wcześniej.

– A ten mężczyzna od tej pary – spytał Charuj – to jaki był? Stary, młody, wysoki, niski, jak ubrany?

– Młody, wysoki, w ciemniej kurtce, dżinsach i wełnianej ciemnej czapce.

– A do jakiego samochodu siedli?

– Do jasnego golfa, srebrnego albo szarego. Numeru nie dało się zauważyć, za ciemno było i za daleko stał – zrelacjonował wywiadowca.

– A ten facet wcześniej wchodził do agencji?

– Tego nie widziałem. Albo już tam był, albo wszedł jakoś inaczej.

– No, dobra. Patrzcie uważnie, kto wchodzi i wychodzi – zakończył Charuj.

– On beże girl na prajwet chata – stwierdził O’Mlett w dialekcie mieszanym – albo może woży do klienta. Ale jedna klienta only na cały dzień? To parso mały dzob.

– Na to wygląda, bo żeby zarobić trzeba się narobić. W końcu to biznes. Coś mi się zdaje, że tam jest nie tylko agencja, bo trochę za mały ruch – zauważył aspirant – i jakoś dziwnie żaden wydział specjalnie ich nie niepokoi. Przepraszam cię, szefie, za to , co teraz powiem. Ty masz głowę do kryminalistyki, ale czikagowskiej. A tutaj są inne układy. U nas praworządność to rzecz umowna. Ten mój „dyndol” niby nic nie powiedział, a tak naprawdę to ujawnił całkiem sporo: Po pierwsze, że „małpę” zna, że jest on powiązany z „lapalomą” i wcale nie jest taką drobną płotką, za jaką mają go w narkotykowym. Po drugie, że zwinęliśmy „klamkę” „lapalomie” niemal sprzed nosa, bo sam go chciał załatwić, skoro uniczył mu całą rodzinę. To znaczy, że „klamka” albo za dużo wiedział, albo nastąpił „lapalomie” na ważny odcisk. Kara za kupowanie chałupy nie w tej dzielnicy to bajka. Wiemy że na „klamkę” w pudle polowali, ale od pewnego czasu dlaczegoś już nie polują. Tylko „dyndol” nie wie, że my też wiemy, że „lapaloma” z jakiegoś powodu ostatnio przycichł, bo nie zwykł niczego puszczać płazem. Może przysiadł,

bo się na coś czai, może mu się nie opłaca, a może zwyczajnie go nie ma, bo na przykład wyjechał, chociaż gdzie by mu było tak dobrze, jak tu. Wreszcie po trzecie, postępowanie „lapalomy” wskazuje, że ma on jakiś głębszy cel, niż tylko proste tłuczenie szmalu i nie chce tego celu narażać takimi drobiazgami jak mała zemsta na facecie w pudle. A głębszym celem w dzisiejszym bałaganie może być tylko czynna polityka, bo ona najskuteczniej zabezpiecza przed beknięciem za różne nieprawości. Złodziej robi przekręty z myślą o sobie, a polityk czyni to samo dla dobra kraju i na ogół uchodzi mu to płazem, szczególnie gdy ma immunitet. No, wytrzymałeś to moje gadanie?

– Wycimałeś. A ten co go hengd za jaja na drucze?

– Aaa, to z całkiem innej sprawy. To był taki mały pikus z grupy koziowólskiej, co chciał podoić na własny rachunek i głupio działał o planach swojego bossa. Ten przypadek „dyndol” przywołał tylko przykładowo, co grozi frajerowi za kłapanie dziobem.

– To ta „lapaloma” może u was zostać się za prezydenta? – Zażartował O’Mlett.

– To pewnie nie, ale posłem mógłby zostać. To dla niego też całkiem niezła fucha – poważnie odrzekł Charuj.

Wywiadowca z Alei Bojowników zameldował, że żona pana posła Bambetla udała się z ochroniarzem beemką po zakupy i już

wróciła z siatami, a po terenie agencji ktoś jeździ jakąś maszyną ogrodniczą, ale nie widać jaką, bo mur i krzaki zasłaniają. Nikt natomiast nie wchodził i nie wychodził poza jednym gorylem być może kończącym zmianę.

Śledczy podsumowali dotychczasowe wyniki. Zainteresowanie obiektem agencji i przyległym do niej skwerkiem było o tyle usprawiedliwione, że mógł to być teren, na którym zwałkowany nieboszczyk przeniósł się do wieczności. Trudno byłoby przypuścić, że zakończył doczesną egzystencję gdzie indziej i że przywieziono go tutaj tylko po to, by wrzucić do kontenera ze śmieciami. Sam się przecież do tego pojemnika nie wrzucił, więc czemu znalazł się właśnie tu, a nie w jakimkolwiek innym ustronnym miejscu, skoro by go skądś wożono. Widocznie wrzucenie szczątków w kontener było najwygodniejsze, bo sprawcy nie mieli czasu na długie ceregiele. Jakby jednak na to nie patrzeć, nie wyjaśniało czyje to zwłoki i przez kogo doprowadzone do obecnego stanu. Krótko mówiąc – w dalszym ciągu tkwili z ręką w nocniku.

Tymczasem niespodziewanie odezwała się klinika chirurgii urazowej i poinformowała, że pacjentka przywieziona przedwczoraj z licznymi złamaniami odzyskała przytomność i jej stan jest w miarę stabilny.

– Ale jak się nazywa? – zaryczał Charuj w słuchawkę, bo mniej go interesowały uwarunkowania medyczne, a liczył na to, że ofiara pobicia ma jakiś związek z jego sprawą.

– Aniola, czy Adela, jakoś tak. A na nazwisko Piesek, Piasek, jakoś podobnie, ale dokładnie trudno ustalić, bo usta ma opuchnięte i strasznie sepleni – beznamiętnie odrzekła pielęgniarka.

– Czy ktoś do niej przychodził?

– Nie, nikt. Zresztą nikogo byśmy nie puścili. Nikt nawet nie pytał, wy pierwsi chcecie coś wiedzieć.

Charuj zerwał się i pojechał do szpitala. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby wiedzieć, że to Aldona Pieścik. Leżała poowijana bandażami, z zagipsowanym barkiem i obrzmiałą twarzą, a w jej podpuchniętych oczach na widok policjanta pojawił się strach. Aspirant postarał się, aby przybrać najłagodniejszy, zatroskany wyraz twarzy i zapytał:

– Kto cię pobił, dziewczyno?

Ranna zamamrotała coś prawie bezgłośnie i odwróciła twarz.

– Powiedz, nic ci nie grozi, dorwiemy sukinsyna – delikatnie kontynuował Charuj nachylając się nad połamana.

Ciche prychnięcie i milczenie.

– Dostaniesz ochronę, nikt tu do ciebie nie wejdzie.

Martwa cisza.

– Nikt ci nie zrobi krzywdy, no, powiedz, kto cię pobije?

– Nikt. Przewróciłam się na schodach – wysepleniał szeptem dziewczyna i widać było, że nic więcej nie powie.

– Niech pan wyjdzie – powiedziała pielęgniarka, która pojawiła się w drzwiach. – Za wcześnie, żeby ją przestuchiwać. – Gdy oboje wyszli z sali, zwróciła się do Charuja wyjaśniająco: – Miałam dyżur jak ją przywieźli, była w szoku, cały czas mamrotała to samo. Anestezjolog wprowadził ją w śpiączkę na dwadzieścia cztery godziny i można ją było połatać. Teraz, po wybudzeniu, jeszcze słabo koja rzy.

– A co mamrotała, jak ją przywieźli?

– W kółko to samo, małpa nie, małpa nie. Chyba była w jakimś zoo.

Charujem szarpnęło, ale ukrył zadowolenie. – Dziękuję pani, siostrzyczko – powiedział bez emocji. – Posadźmy tu policjanta przed drzwiami, nikt nie ma prawa wejść poza personelem, nawet jej matka. Dobrze?

– Trudno. Powiem lekarzowi. – Siostra potwierdziła niechętnie i odeszła.

– Aldonę Pieścik pobije „małpa”. – Powiedział Charuj do O’Mletta, gdy powrócił ze szpitala do komendy. – Ona mi tego oczywiście nie powiedziała, ale nie mam wątpliwości. Jak go

dorwiemy, to będzie można go zatrzymać za ciężkie pobicie i prokurator nam to uzna. A tej panience posadziłem policjanta przed drzwiami.

– Dobrze. – Stwierdził komisarz po wystuchaniu relacji. – A czemu ten „małpa” ją pobijał?

– Niestety nie wiadomo. Dobrze, że jej całkiem nie zabił, bo niewiele brakowało. Ktoś starszy po takim biciu to by się pewnie przekręcił. Na uparte go, to można by mu przypisać usiłowanie zabójstwa, w każdym razie zamiar ewentualny.

– Może on chce kill, ale mu nie wychodzi. Myszy, że ona ded i idzie aut, a ona żywa, ludzie ją znajdywa i do reskiu ambulans. Znać „małpa” patałacha! My muszy wiedzieć, ci on sam chce pobijać, ci jego każe „lapaloma” abo kto drugi. Jak on sam nie chce, to gud lajer go wibroni od procesa za murder.

– Tak mówisz, szefie, jakbyśmy już go mieli na dołku i zastanawiali się nad zarzutami. Ważne, czy on wie, że jej nie zabił, czy nie wie. Bo jak wie, to może spróbować dobić ją w szpitalu.

Gdy zastanawiali się nad tym, przyniesiono im ostatni numer brukowca „Hiper–Intersity”, w którym ukazał się artykułik jakiegoś redakcyjnego detektywa usiłującego dociec, na co takiego cierpi znany lobbysta Zenon Barłóg, że aż musiał zrezygnować z kandydowania na stanowisko senatora.

Redaktorek snuł jakieś nieprawdopodobne sugestie, wszystkie oczywiście stuprocentowo potwierdzone, z których niedwuznacznie wynikało, że nic nie wiadomo. Widać było, że najbardziej zależy mu na wierszówce. Dotarł podobno do jakichś, bliżej nieokreślonych współpracowników lobbysty, których tożsamość, niestety, zmuszony jest utajnić. Lekko dał do zrozumienia, że przeprowadził interwju z rodziną kandydata, ale niczego nie ujawni, choć jest to rzekomo porażające. Jediną informacją, która zainteresowała Charuja, było dość ogólnikowe określenie miejsca, gdzie ta rodzina miałaby ewentualnie przebywać. Wszystko razem było pseudo-sensacyjnym bełkotem, na jakim pasie się to pisemko.

– Ci ty chcesz śukacz famyly od ten Barłóg? – Zapytał komisarz.
– On w nasz inkuajeri taki boćny, znać nieważny.

– Kupił, nie kupił, pomacać można. Było trzech kandydatów na ten senacki stołek. Dwóch z nich, Fafuśnik i Psicki, to goście agencji na Bojowników, a trzeci, o którym nic nie wiemy, raptem zachorzał i rezygnuje, a jego rodzina, jak wynika z treści tej gazety, przebywa ponoć gdzieś w suwalskiem. Coś nam się to suwalskie powtacza, wybory w suwalskiem, poseł Bambetel też z suwalskiego. Nie uważasz, że warto poskrobać?

Z samego rana siedli do zdezelowanej tojoty i pojechali nad granicę litewską. Dziennikarz zabawiający się w Szerloka Holmsa coś

tam wspominał o miejscowości Zapłocie, ale na żadnej mapie takiej nie było, więc postanowili zasięgnąć informacji w komendzie wojewódzkiej. Tam, po godzinnym poszukiwaniu, autorytatywnie stwierdzono, że w tym regionie takiego miejsca nie ma i nikt nigdy o nim nie słyszał. Jest natomiast wieś Zapyzie Dolne w gminie Katorzniki, ale nie ma tam posterunku, więc w razie czego muszą radzić sobie sami.

– A Zapyzia Górnego nie ma? – spytał Charuj, żądny pełniejszej informacji.

– A no nie ma. Może kiedyś, za cara, było, ale teraz nie ma, tylko Dolne.

Wyglądało na to, że dziennikarz nigdy tu nie był, bo trudno przypuścić, że nie potrafił zapamiętać nazwy miejscowości, w której rzekomo prowadził intensywne śledztwo. Co prawda wiarygodność gazety była minus zerowa, ale mimo wszystko... Chyba że redaktor celowo pozacierał ślady, aby utrudnić konfrontację niusa z rzeczywistością.

Wieś leżała nad bagnem, składała się z czterech gospodarstw i nowo wybudowanego domu letniskowego w stylu udającym mauretański.

– Cegój? – zapytała ich kobiecina, która wyszła na ich widok z pierwszej z brzegu chałupy.

– Czy tu we wsi mieszka ktoś o nazwisku Barłóg?

– Nijakiego Barłoga tutaj nie ma. A czego od niego chceta?

– Niczego nie chcemy, skoro takiego nie ma – z uśmiechem odparł aspirant.

Kobiecinnie sytuacja wymknęła się spod kontroli, bo nie zaspokoila ciekawości. – Ja tam nie wiem, może do tego letniaka taki przyjeżdża. A wy same kto takie? – spróbowała powtórnie.

Charuj nie chciał jeszcze ujawniać celu wizyty. – Znajomi – odparł zdawkowo.

– Popytajta w letniaku. Tera same psy tamój som, jak jesteśta znajome, to może was nie zeźrom – w głosie babki zabrzmiała zakamuflowana groźba. Widać nie darowała im braku pełnej informacji. Splotła ręce na piersi na znak, że rozmowa skończona i oparła się o płot, by z pełną satysfakcją obserwować przewidywany dalszy rozwój wypadków.

Psy rzeczywiście były, dwa owczarki kaukaskie i trzy pitbule. Pojawily się natychmiast jak tylko O'Mlett z Charujem podeszli do stalowego płotu na podmurówce. Były wypasione i dobrze utrzymane, a ich ponure i zajadłe szczekanie dowodziło, że żaden niezapowiedziany gość nie ma tu najmniejszych szans. Komisarz z aspirantem obeszli teren wzdłuż płotu dookoła, a psy towarzyszyły im

bez przerwy po drugiej stronie ogrodzenia, cały czas dając wyraz swojemu niezadowoleniu.

– Dragans – z podziwem powiedział O’Mlett. – Ony chcą nasz jeszcze!

– Właśnie, jeść – zauważył Charuj. – Ktoś im musi dawać jeść, bo na wygłodzone nie wyglądają, czyli ktoś musi tu mieszkać na stałe, choć babka ten dom nazywa letniakiem, a mamy koniec października.

Zbliżyli się do furtki zespawanej z prętów zbrojeniowych, ale nie zauważyli przy niej żadnego dzwonka. Zaczęli więc trząść furtką i pohukiwać w różnych językach, co połączone z agresywnym szczeniem powodowało potężny hałas.

Wreszcie, po dłuższej chwili, wyszedł z domu młody, potężny facet z ponurym wyrazem twarzy i przetrąconym nosem, powoli podszedł do furtki i agresywnym wysunięciem podbródka bezgłośnie zapytał o cel wizyty.

– Saluto – spokojnie powiedział Charuj. – Czy tu mieszka pan Barłóg?

– Nie – krótko odpowiedział ponurak.

– Ale bywa?

– A co was obchodzi, kto tu bywa?

– Jesteśmy od „małpy”. – Zaryzykował Charuj.

Widać było, jak w pokancerowanej twarzy faceta coś drgnęło. – To idźta se do zoo – odpowiedział grobowym głosem, ale od płotu nie odszedł. Nawet uspokoił psy.

– I od „kapusty” mamy ważny cynk. – Aspirant postanowił nie ustępować.

– Nie znam człowieka.

Fakt, że ponurak nie przegonił ich spod furtki, stwarzał pewną nadzieję.

– „Kapusta” coś mówił, że gospodarz chory.

– Może i chory, co mnie to obchodzi.

– Jeżeli akurat teraz chory, to sprawy mogą pójść nie tak – smutno powiedział aspirant, przybierając zmartwioną minę.

– W Warszawie pewnie siedzi, albo w Kluchach, jak wyjeżdżał, to był zdrowy – z pewnym niepokojem odrzekł ponurak.

– No dobra, siła wyższa, dziękujemy, przepraszamy, co złego to nie my. Ale gdybyś go widział, to przekaż.

Kiwnięcie głową było jedyną odpowiedzią, ale i potwierdzeniem, że chyba dobrze trafili. – Ciekawe, czy ten dziennikarzyna też tu był – mruknął Charuj, gdy odeszli kilka metrów.

Wycofali się spod płotu i poszli do samochodu, który zostawili sto metrów dalej. Tam Charuj usiadł na miejscu kierowcy i wycią-

gnął atlas. – Nie pytałem, gdzie te Kluchy, żeby nas nie spalić. Sami poszukamy – powiedział do O’Mletta.

– Siur, gud.

– Popatrzmy. Klapy, Klewki, ooo, Kluchy! To będzie gdzieś w tym kwadracie. Kaczory Wielkie, Fanaty, Rydzykanty, Pipsztule, Zamordzina, ooo, są Kluchy, tu, taka dziura za Bździurniczkami! To w końcu nie tak daleko, samochodem najwyżej godzina z groszami. Jedziemy?

– Jadzemy, jeden dzarni tędy ci tędy roud, no to go!

Dojechali dość prędko i bez większych kłopotów, mimo kilkusetmetrowych miejscami robót drogowych, na których notorycznie nic się nie działo i stały tylko smętnie porzucone maszyny. Zaraz na skraju wsi, za krzywą tablicą z napisem „Kluchy Pojezuickie”, natknęli się na resztki półwyciętego parku, a w nim zdewastowany stary dworek, z jednej strony podparty drewnianym rusztowaniem.

W rowie przy drodze stał kulawy dziadek pilnujący trzech pasących się kóz. Jedna z nich, łaciata, podeszła do nich i wyraziła swoje zainteresowanie przybyszami poprzez uśiłowanie nadgryzienia atlasu samochodowego, który O’Mlett trzymał w ręku.

– Nastąp ze się, Mećka! – powiedział dziadek. – Una nie bodzie – poinformował uspokajająco – psyucona jest do ludziów!

– Pochwalony – Charuj powitał dziadka lekkim ukłonem.

– A na wieki, panowie tys od tego, co tyn pałac kupił?

– Nie. My tylko przejazdem, tak na wycieczkę – gładko skłamał Charuj.

– A to dobrze, dobrze, bo tamte od onego takie jakieś niegzechne, ludziów nie usanujom, dziewczuchy ganiajom...

– Dawno on ten pałac kupił?

– Na wiesne. Gadał, że łodnowi, ale nie łodnowił. Widzicie, jak stał taki i potąd stoi. Nijakiego łodnowienia, ino ze podparty.

– A jak się nazywa ten, co kupił? – Gadatliwość dziadka była Charujowi wybitnie na rękę.

– A nie wiem, detalicznie nie wiem, będzie jakości tak na „b”, może Bok, może Brog. We gminie to pewnie wiedzum, może sołtys wie, ale ja, panie, nie wiem.

– Można ten pałac obejrzeć, mieszka tam kto?

– Nikto nie mnieszka. Obglądajta wedle woli, ale we środek nie wejdzietą, bo kłódki wisom i tamój niebezpiecznie. Powata podobniez siem wali.

Obeszli ruderę dookoła, popatrzyli na popękane ściany, dach bez połowy dachówek i pozabijane czymkolwiek okna bez szyb, a gdy podeszli do głównego wejścia, Charuj spojrzął do góry i zła-pał O’Mletta za rękaw.

– Popatrz, jelita!

– Łer, bebechi? Ćije?

– Nie bebechy tylko herb „jelita”, taki jak na sygnecie naszego trupa! Pamiętasz? Pytałeś, czy z niego wielki hrabia?

Rzeczywiście, nad odrapanymi drzwiami widniał kamienny, a może gipsowy, poobtłukiwany relief, kartusz z trzema skrzyżowanymi w gwiazdę kopiami.

– Ooo! – O’Mlett pokręcił głową z podziwu nad heraldyczną wiedzą Charuja. – To może bycz elementary pruf egeinst perszconek naszego zwłoka! Charuj, ty jesteś hystory profesor!

Po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że nie ma co chodzić do gminy albo do sołtysa i ujawniać swojej tożsamości, gdy zebrany materiał w dużej części potwierdzał ich przypuszczenia. Wracając do samochodu zatrzymali się jeszcze przy dziadku z kozami, pogadali chwilę o trudnych, dzisiejszych czasach i Charuj dał mu paczkę papierosów i zapalniczkę, a O’Mlett – czapkę bejsbolówkę z emblematem „Chicago Pistons”, gdy dowiedział się, że dziadek ma wnuka.

– Panowie jesteście ludzie w porządku, nie jak tamte miastowe od pałaca, co to nic nie dadzum, a jeszcze zabiorum! Od Walusiaka siekiere i łośnik niby pozycyli i do dzisiok dnia nie oddali. A jesce córkie to mu chcieni na jakimś artystkie pseinacyć! – uświadomił ich dziadek na odchodne.

W komendzie byli po trzech godzinach. Zjedli spóźniony obiad i siedli by wyciągnąć wnioski z porannej wycieczki. Zasadniczy wniosek nasunął się natychmiast: Istniało uzasadnione przypuszczenie, że trup znaleziony na śmietniku, właściciel, a przynajmniej „dostawca” żeńskiego personelu do agencji towarzyskiej i lobbysta Zenon Barłóg to ta sama osoba. Należało to tylko solidnie udowodnić. Aby to zrobić trzeba by odszukać rodzinę, a szczególnie rodziców i rodzeństwo Zenona Barłoga celem identyfikacji DNA, co stanowiłoby niezbity dowód tożsamości. Przyczynkiem do tego byłoby ustalenie pełnych danych osobowych, daktyloskopijnych i DNA całego personelu agencji. Choć panowie Fafuśnik, Psicki i Bambetel powiedzą zapewne, że Barłoga nie znają i nigdy go nie widzieli, należy mimo to dwóch pierwszych z nich przesłuchać przed wyborami uzupełniającymi, dopóki nie mają immunitetów. Krótko mówiąc wnioski należy już teraz przedstawić prokuratorowi, bo bez jego udziału poszukiwania i przesłuchania spotkają się z trudnym do zwalczenia oporem.

Następnego ranka kolega komisarz z przestępczości zorganizowanej powiadomił ich, że wśród chłopców z miasta krążą plotki, jakoby „lapaloma” został wysadzony z siodła i zastąpiony przez „małpę”. Kolega nie wiedział, czy stało się to w wyniku zamachu stanu, czy też skutek innych przyczyn, w każdym razie wiadomość była cenna

i warta zbadania. Pierwszym dowodem na to, że plotka jest prawdą, było odstąpienie od usiłowania likwidacji siedzącego „klamki”, do którego „małpa”, jak się zdaje, nie miał żadnych pretensji. „Małpa” był młody, prężny, żądny władzy i świetnie zorientowany w branży, a dodatkowo, jak przypuszczano, niezłe wykształcony. O ile udałoby się skłonić Aldonę Pieścik do złożenia zeznań, to można by go było oskarżyć przynajmniej o ciężkie pobicie. Tak czy owak warto zrobić natęt na agencję przy Alei Bojowników.

W tym celu O’Mlett zwrócił się do kolegów z przestępczości zorganizowanej i obyczajówki z propozycją współdziałania, rzeczowo wyjaśniając, o co mu chodzi:

– Jedna pśestępcza, wam wery topsie znajomy pseudonym maupa, pobijił girl od towarzysky eidženst psi Bojownyków strit. On dżałuje egenst dy lau, ale ta girl nie chce mówycz żaden zeznanie. Ja chcę onego zacimać. Co wy na to?

– Będzie zeznanie, będzie podstawa. Nie będzie, to będzie problem, bo bez doniesienia od pokrzywdzonej nie ma sprawy. Gdyby ją zabił albo przynajmniej usiłował, to co innego. Wtedy mógłby prokurator z urzędu – odrzekli oficerowie. – Zrozumiałeś, kolego komisarzu?

– Zrozumiaueś. Ja myszli, że uszyłował. To teraz drugi sprawa. My počebujemy siukacz jeden byznesmen, nejm Bartłóg. My mysz-

lymy on jeden ćłówek tuggeder z dyrektor od eidženst i zwłoka, jaki my mamy znaleźone...

– Taki świąty w trzech osobach – wtrącił jeden z oficerów.

– Yes. My myszlymy, że ta maupa, znaći pseudonym maupa, nau zastępywa ten szwenty dyrektor, co jest trup. Jak będzie zbaidano i myster Barłóg akording baj dienej z dyrektor eidženst, my sze dowiemy hu is hu, cili trup. Ći wy możeczce dawacz wasią pauer w siukanie Barłóg?

– O kurczę – z podziwem powiedział jeden podkomisarz z obyčajówki. – Na szkole dawali różne haki do rozwiązania, ale takiej zagwozdki to jeszcze nie miałem.

– Ty chcesz, żeby ten poszukiwany Barłóg pasował do twojego trupa? – niepewnie zapytał jeden nadkomisarz.

– Ja nie chcem, ja entisypejt... znaći ja myszli, że nasz trup w ciech osobach, jeden nie żyje, a dwa for mi niewiadomo. Cieba łapacz te dwa i wtedy wiadomo! Ci wy rozumeją maj polsky jenzik? – O'Mlett uśmiechnął się promiennie widząc okrągłe oczy swoich słuchaczy.

– Tak, oczywiście, ale lepiej przyślij tu swojego aspiranta – powiedział nadkomisarz z przestępczości zorganizowanej. – Szczegóły wygodniej będzie ustalać także z nim, jak prowadzicie to razem. – Dodał delikatnie by nie urazić rozmówcy.

Charuj wrócił z narady po półgodzinie. Ustalili, że przestępczość zorganizowana dyskretnie rozpuści wici za Barłogiem, bo jak na razie nic na niego nie mieli, a obyczajówka postara się zrobić drobny kipisz w agencji, w oparciu o fakt ciężkiego pobicia notowanej Aldony Pieścik. Jakaś podstawa do tego była, choć samo przestępstwo miało miejsce poza agencją. Na tym stanęło i O'Mlett ocenił wynik pozytywnie.

– Znać oni śiukać dwa osoby, my one dopasać do zwłoka...

– Dopasować – poprawił Charuj.

– Yes, dopasować. Ja uważuje...

– Uważam – znów poprawił aspirant, który na naradzie nasłuchał się wielu dowcipów na temat wystąpienia O'Mletta.

– Ooo, yes. Ja uważam, biurdel czif parso ważny, on zna persns Fafuszniak, Barłóg i Pszicky, on wi jak wygląda, on sentral. Najważniejszy!

Skoro widziano „małpę” wychodzącego z agencji w towarzystwie kobiety, prawdopodobnie Aldony Pieścik, i w kontekście planowanej wizyty policji w tym przybytku rozkoszy, Charuj postanowił spróbować jeszcze raz nakłonić pobitą dziewczynę do zeznań. W klinice dowiedział się, że nikt jej nie usiłował odwiedzić, więc usiadł przy łóżku i przez minutę patrzył na jej pokiereszowaną twarz.

– No – powiedział w końcu najłagodniej jak potrafił – wiemy, że to „małpa” cię pobił i mamy go na widelcu, więc nie musisz nam mówić, kto, ale powiedz mi za co. Bo tak porąbać trzeba za coś, nie? Tylko nie wstawiaj mi ciemnoty, że spadłaś ze schodów, bo musiałybyś, dziewczyno, spaść z Pałacu Kultury żeby tak się poharatać. No więc powiedz, za co?

– To wasza wina! – wysepleniła po dłuższej przerwie. – Darł się, że mnie zabije, bo z psami gadałam.

– No widzisz, nie było to takie trudne. Odpocznij sobie teraz, leczą cię tu dobrze, masz ochronę, wszystko będzie okej. Zrobimy „małpie” proces na dwanaście fajerek za to, co ci zrobił. I nie tylko za to. Tobie nic nie grozi. Powtórzysz prokuratorowi to, coś mi przed chwilą powiedziała?

Odpowiedzią było skiniecie głową i bezradne spojrzenie podbitych oczu.

– Pilnuj, stary. Nikt obcy nie ma wstępu, nawet sam papież – powiedział Charuj do policjanta przed drzwiami.

Informacja o zgodzie Aldony Pieścik na składanie zeznań dotarła do O'Mletta w sam czas, aby załatwić nakaz przeszukania agencji towarzyskiej przy Alei Bojowników Za Sprawę 25, a może 26. Ekipa wyruszyła jeszcze przed wieczorem i nalot odbył się według wszelkich zasad sztuki. Jana Małopanka czyli „małpy” w obiekcie

nie znaleziono, ale z jednego z gabinetów wyciągnięto pana Józefa Psickiego, katolickiego działacza samorządowego. Spisano go tylko, bo nie był poszukiwany i przetrzymano do czasu zakończenia akcji, ale i to wystarczyło, by podważyć zasadność jego kandydatury na fotel senatorski, bowiem przed budynkiem, oczywiście przypadkiem, znalazło się kilku reporterów.

Penetrując teren posesji policjanci zauważyli niewielką, solidną furtkę w murze oddzielającym agencję od ogródka przyległego do willi pana pośta Bambetla. Przejście było zamknięte na głucho, zaarośnięte bezlistnym już bluszczem i prawie niewidoczne, a żelazny zamek furty dokumentnie zardzewiał.

Najważniejszym znaleziskiem wszelako był niewielki magazyn narkotyków, odkryty w sprytnie urządzonej skrytce pod podłogą. Było w niej około półtora kilograma amfetaminy i spore worki ekstazy i tabletek gwałtu, o wielusettyśnej wartości na wolnym rynku. Wytwórni narkotyków w budynku nie znaleziono, ale i to, co wykryto, wystarczało na postawienie solidnych zarzutów, zastanawiano się tylko – komu, bo z określeniem szefa tej instytucji trzeba było jeszcze poczekać.

W pokojach na piętrze, a właściwie „gabinetach”, zabezpieczono grzebienie, szczoteczkę do zębów, brudne szklanki i kieliszki z odciskami palców, chusteczki porzucone po wytarciu ust i dam-

ską, a może męską, apaszkę ze śladami resztek jedzenia. Z uwagi na obecność narkotyków zatrzymano szefa ochrony – Zbyńka z krzywą mordą o ksywie „tajson” i jeszcze jednego ochroniarza z szerokimi barami i małym łebkiem.

– Czy brutalne, bezpodstawne zatrzymanie pana prezesa Psickiego jest zaplanowanym elementem walki rządu z kościołem? – zapytała nawiedzona dziennikarka tańcząca przed furtką, ta sama zresztą, której nie podobały się trzy kontenery wody mineralnej pod komendą.

– Pana prezesa Psickiego nie zatrzymaliśmy – spokojnie odpowiedział oficer – a czy pani wie, co mieści się w tym budynku, w którym pan prezes przebywał? Uprzejmie informuję, że burdel.

O'Mletta zdenerwował brak sukcesu w kwestii szybkiego dorwania „małpy”.

– Kolera jaśna, psza mać – powiedział z mocą, podkreślając tym samym swoją znajomość polskich wyrażen okazjonalnych – że teś on, kurwa, kot z pęczężem, a nie szedzi, kurwa, w chaupa, jak ewry body!

– Ooo, szefie – z podziwem zauważył Charuj – słyszę, że opanowujesz polskie idiomy. Jak wrócisz do Czikago, to się dopiero zdziwią! Może wydasz słownik?

– Ja szem piekli, że „maupa” my nie złapili!

– Pewnie ma duszę na ramieniu.

– Łot?

– To też idiom. Uciekł bo się boi. Pewnie myśli, że zabił tę panienkę, a za to groziłoby mu dożywocie. Nie wiadomo zresztą, czy rzeczywiście kogoś nie zabił.

– Parso tobże, niech myszli. Jak wpadnie, bendzie lepi gadał w spowedzi!

Następnego dnia po południu „małpa” na skutek zbiegu okoliczności wpadł w korku na Wiśłostradzie. Przez zator przepychała się straż, karetka i dwa radiowozy, a „małpa” spanikował i wyskoczył beemką na trawnik, gdzie wpadł do wykopu na jakąś rurę. Zatrzymała go drogowka gdy usiłował uciekać na piechotę, ale go dogonili, bo wydawał się im mocno podpadnięty. Kto zostawia nową beemkę z kołem w dziurze? Tylko albo pijany polityk albo bandzior – pomyśleli ci z drogowki i mieli rację. Odstawili go na komendę, mimo usilnego tłumaczenia, że zasnął za kierownicą. Stojąc w korku rzeczywiście można zasnąć, ale nie wtedy, gdy delikwentowi wyje straż nad głową.

O wpadce „małpy” O’Mlett z Charujem dowiedzieli się prawie natychmiast.

– Dzień dobry, panie Małopanek – rozpoczął Charuj, gdy usiedli naprzeciw siebie w pokoju przesłuchań. – Czy pan wie, za co został pan zatrzymany?

– Bezprawnie! Z pogwałceniem wszelkich możliwych zasad! Ja złożę skargę za nieuzasadnione nękanie! Takich drobnych stłuczek codziennie są tysiące i nikogo z tego powodu się nie aresztuje! Nic na mnie nie macie!

– Po pierwsze, jak się zaraz okaże, mamy. Po drugie nie został pan aresztowany, tylko zatrzymany. O aresztowaniu decyduje u nas sąd, a został pan zatrzymany nie za stłuczkę, lecz wskutek podejrzenia o ciężkie pobicie niejkiej Aldony Pieścik.

Widać było, jak przesłuchiwany odetchnął z ulgą, ale aspirant nie pozwolił mu odprężyć się całkowicie: – Jej stan jest krytyczny, oczekujemy wiadomości o jej śmierci, a wówczas ty, szanowny panie Małopanek, zostaniesz mordercą.

– Nie znam żadnej Aldony – „małpa” ponownie zeszywniał.

– Nie znasz? Przecież to twoja, że tak powiem, podopieczna. Wyszedłeś z nią wieczorkiem z agencji, wsadziłeś w srebrną furę, wywoziłeś i pobiłeś. A my mamy uwierzyć, że jej nie znasz?

– No, może i z nią jeździłem. Co? Nie wolno podwieźć? Ale nie biłem!

– Nie biłeś? Dwóch świadków widziało, jak ją katowałeś.

„Małpa” roześmiał się jadowicie – nie macie żadnych świadków, tam nikogo nie było.

Charuj pominął to milczeniem widząc, jak przestłuchiwany bandzior intensywnie główkuje jak wybrnąć z tego, co przed chwilą nieopatrznie chlapnął. „Małpa” zastanawiał się teraz, czy lepiej dla niego aby Pieścik umarła, bo wówczas niczego przeciw niemu nie zezna i będzie sprawa poszlakowa, czy też aby żyła, bo wtedy nie grozi mu wyrok za zabójstwo. Zanim rozwiązał ten dylemat, Charuj zaatakował z flanki:

– Dokąd wiozłeś narkotyki tą kradzioną beemką?

– Ja nic nie ukradłem, to w ogóle nie mój samochód.

– Wiemy, że nie twój. To wózek jednego Austriaka podprowadzony mu w Czechach, ale narkotyki w nim twoje. Pół kilo amfetaminy. Są na niej twoje odciski, takie same jak na kierownicy. No to dokąd je wiozłeś? Do agencji?

„Małpa” zamilkł i namyślał się.

O’Mlett przez cały czas przestłuchiwania „małpy” nie odezwał się ani słowem. Doniesiono mu przez ten czas, że pan prezes Psicki zamiast na spotkanie przedwyborcze udał się pilnie „lufthanzą” na Karaiby, a pan Eustachy Fafuśnik zapadł się pod ziemię i nie było go nawet we własnym przedsiębiorstwie przerobu nadgniłych ryb na ekologiczną mączkę spożywczą. Natomiast poszukiwania pana

Zenona Barłoga trwały. Pod adresem jego zamieszkania, w wąlej się kamienicze w zapyziałym miasteczku, przebywała jedynie Anna Barług, od pięciu lat wdowa po grabarzu, który zszedł na chorobę zawodową, czyli zapił się do imentu. Pani Anny wszelako z poszukiwanym Zenonem Barłógiem nie łączyło nic poza przypadkową zbieżnością brzmienia nazwiska, pisanego zresztą przez „u” otwarte. Mieszkał z nią przez pewien czas czterdziestoparoletni konkubent o imieniu Zenobi, ale nikt z sąsiadów nie nazywał go inaczej jak „chłop Barługowej”. Po roku zniknął i ludzie o nim zapomnieli. Ostatnia wreszcie informacja okazała się cenniejsza. Oto szefem i właścicielem czterech rozsianych po województwie agencji towarzyskich okazał się znany w półświatku „lapaloma”, którego nazwiska ani miejsca zamieszkania, niestety, nie udało się dotychczas ustalić.

– To taki wiadomoszcz parso świeży – powiedział O’Mlett do Charuja, gdy „małpę” odprowadzono na dołek. – Te ćtery brodels pracują parso tobże, żadny bałagan, to może ta „lapaloma” żyje, a my nietobże myslimy, co on ded?

– A ja sądzę, że my dobrze myślimy, no bo popatrz: Niemożliwe, żeby ten cały „lapaloma” nigdy nigdzie się nie pokazał. Jeżeli prawdą jest, że schedę po „lapalomie”, żyjącym, nieżyjącym albo tylko mitycznym, przejął „małpa”, to teraz, kiedy „małpa” siedzi, tam

powinno się zacząć bezkrólewie i walka o władzę. Wystarczy tylko poczekać. Oczywiście jeżeli góra pozwoli nam na czekanie.

– Ćeba psiekonuwać góra. Polityki nie naciskują, to może góra da poćekać.

Ale góra szczęśliwie milczała. Inspektor nie wzywał ich ani nie ponaglał, bo widocznie najbardziej zainteresowane siły polityczne chwilowo nie wiedziały, co jest grane. Zniknięcie dwóch kolejnych kandydatów na stołek senatora, w tym jednego, usilnie popieranego przez pałac, zaskoczyło widocznie samych popierających.

Jednookręgowe wybory uzupełniające do Senatu odeszły nieco w cień, bo krajem lekko wstrząsała nowa aferka. Mianowicie dobry agent byłych opozycjonistów został rozpoznany przez instytut będący rzecznikiem ich interesów jako zły agent byłych komunistów, mimo że działał w tym brzydkim środowisku z polecenia i na rzecz byłych opozycjonistów. Nie wiadomo, czy to całkowicie, czy tylko częściowo usprawiedliwia, względnie odwrotnie – czy go ostatecznie nie pogrąża. W związku z tym, że instytut wykrywał, wykrywa i będzie wykrywał agentów byłych komunistów dopóty, dopóki ich liczba nie przekroczy całości ówczesnej populacji, w tym wszystkich byłych opozycjonistów, sprawa wygląda na rozwojową. Przewiduje się, że działalność instytutu pozwoli na to, aby każdy

w swoim czasie dowiedział się, że był agentem od poczęcia aż do naturalnej śmierci.

Wynik dotychczasowych poszukiwań Zenona Barłoga dowodził, że ten gość nigdzie na stałe nie mieszkał, choć miał przynajmniej dwa domy i, co najciekawsze, w ogóle nie miał żadnej rodziny. Nie tylko żony czy dzieci, ale nawet rodziców, co już byłoby genetycznym ewenementem. W tej sytuacji O'Mlett zastanawiał się, czy nie zwrócić się do właściwej komisji wyborczej o wyjaśnienie, na jakiej podstawie zarejestrowała go jako kandydata na fotel senatorski. Charuj wszelako odwiódł go od tego zamiaru.

– Rozpętamy burzę – powiedział po głębszym namyśle. – Komisja niczego nam nie udostępni i powie, że dane osobowe są tajne. Poza tym na pewno zapyta, po co nam ta informacja, skoro przeciwko panu Barłogowi nie jest prowadzone żadne śledztwo. Krótko mówiąc damy politykom i mediom pełny kubeł doskonałego żeru, uzyskując w zamian wyłącznie kłopoty. Pamiętasz, co mówił inspektor? Uważajcie z politykami!

– A nie można pytać konfidens... znać poufny?

– Można, ale to jeszcze gorzej. Jak zawsze będzie jakiś przeciek i rozpęta się chryja do kwadratu. Zaczną nas pytać co my ukrywamy. Zrozumiałeś?

– Not! Ja psizwyćajony do normalny stosunki. Ja cicho pyta, ony cicho odpowiada. Jego teś zależy na topny kontakt. Nou uan notabylyty nie luby wojna ze stejt polis.

Obserwatorzy obiektu w Alei Bojowników Za Sprawę, pozostawieni tam mimo nalotu, donieśli, że przez ostatnie dwa dni panowała tam grobowa cisza, tylko z domu pana pośła Bambetla wyjechała jego żona z ochroniarzem i wrócili dopiero po trzydziestu sześciu godzinach. Ochrona z agencji towarzyskiej nie ujawniała się, panienki chyba nie przyszły do roboty albo siedziały zamknięte w środku, a pod furtkę podjechał tylko jeden samochód. Był to czarny, terenowy dżip z zaciemnionymi szybami, z którego jednak nikt nie wysiadł. Samochód powstał z pięć minut i odjechał tak samo niespodziewanie, jak się pojawił. – Cholera wie, czy był tam ktoś oprócz kierowcy, dla pewności spisałem numery – zameldował wywiadowca.

Charuj natychmiast sprawdził te numery, bryka należała do Eustachego Fafuśnika, co bynajmniej nie oznaczało, że on sam się ujawnił.

– Jeżeli sam Fafuśnik tam podjechał, to dlaczego nie wszedł? Czyżby coś go spłoszyło? – spekulował aspirant. – Przecież gdyby wiedział o przeszukaniu agencji i bał się obserwacji, to by w ogóle nie przyjeżdżał. Tak czy owak, po wyjeździe Psickiego, kandydatem na senatora został tylko on.

– Jeżeli mister Fafuśnik nie wie o zaciąganiu maupy, może psibytuje do on?

– Prawie pewne, że „małpa” zna Psickiego i Fafuśnika, ale on nam tego nie powie. Zaprze się w żywe oczy, z tej strony się nie dowiemy.

Mimo to Charuj kazał sprowadzić zatrzymanego i zaryzykował cios na odlew:

– „Małpa”, „kapusta” cię szuka, co mu przekazać? Może chcesz usługi do kicia albo ciepłe kałesony?

– Gównu mu zrobicie, to dla was za duży numer kołnierzyka – z cynicznym uśmiechem odpowiedział aresztant.

– Tak myślisz? No to powodzenia, myśl dalej. Odprowadź zatrzymanego – Charuj zakończył rozmowę zwracając się do konwojenta.

O’Mlett myślał o czymś przez chwilę trąc dłonią zarośnięty podbródek.

– Charuj – powiedział w końcu, całkowicie zmieniając temat – a ta ziona od poseł Bambetel to gdzie może być pśez półtora doba? Ona nocowa w hotel?

– Jeden czort ją znajet, może poleciała do Paryża do fryzjera, albo bawili się z mężusiem na jakimś jublu rządowym, na ten przykład. Możliwościów jest jak mrówków.

– Hmm. I to akurat w ten cias, co my robią kipiś w brodel i sadzym maupę?

– Myślisz, szefie, że to ma związek? Co wspólnego ma z burdelem i z łapaniem „małpy” żona pana posta?

– Ona jest somsz... soś, no neiber, jak to po polsku?

– Sąsiadka?

– Yes. Ona paći, ona wydzi, ona niepokojna, ona jedże aut!

– No, dobra! Ale co to ma wspólnego jedno z drugim?

– Aj dont knou, Charuj, znaći, ja ne wim, ja ciuje – tu O’Mlett popukał się palcem kilkakrotnie we własny nos – w poulisji intjuiszyn parso ważny!

– Okej, szefie, pomocamy sprawę, jak wpadnie nam jakiś cynk. Na razie wiemy tyle, że wyjechała i wróciła i że nie rusza się bez goryla. Ale to może być tylko szpan.

Następnego dnia rano prokurator przedstawił „małpie” zarzuty ciężkiego pobicia z użyciem niebezpiecznego narzędzia i handlu narkotykami oraz posiadania wielkiej ich ilości do celów handlowych. Sąd rejonowy bez zwłoki aresztował go na trzy miesiące i Jana Małopanka zabrano do aresztu śledczego, wobec czego O’Mlett z Charujem nie mieli go już bezpośrednio pod ręką.

Po południu wywiadowcy donieśli, że sytuacja w agencji towarzyskiej przy Alei Bojowników wraca do normy. Panienki znów wy-

jeżdżają do klientów, a przed obiektem pokazuje się coraz więcej samochodów dowożących różnych panów spragnionych uciech.

Tymczasem komenda w Suwałkach, którą, jak wszystkie inne komendy, poproszono o współdziałanie w poszukiwaniach Zenona Barłoga i jego bliskich, doniosła, że na ich terenie we wsi Bezdechy mieszka rodzina o tym nazwisku. Głową rodziny jest Szczepan Barłoga, rolnik gospodarujący na siedmiu hektarach, bardziej znany komendzie z racji pędzenia bimbru.

– To jest Barłoga, a nie Barłóg – z powątpiewaniem stwierdził Charuj po przeczytaniu notatki – prawdopodobnie ma z naszym Barłogiem taki sam związek, jak ta wdowa po grabarzu. Chcesz to sam sprawdzić, czy niech oni w komendzie sprawdzą?

– Jutro niedzela, my robym tiurist trip do Bezdechy, tobże?

– Okej. Uprzedzę żonę.

We wsi Bezdechy pojawili się koło południa. Był to dzień wyborów uzupełniających do Senatu i na płocie u sołtysa wisiły trzy plakaty o treści: „Eustachy Fafuśnik to twój mocny głos w Senacie. Głosuj na swój głos!”.

– Gdzie tu mieszka Szczepan Barłoga?

– A to za bywyszym gieesem – odrzekł sołtys machając ręką w nieokreślonym kierunku – a czegój od niego chceta? Tera som wybory, mało kto nie napity chodzi.

– Słyszałem, że z rodziny od Barłogi to też ktoś do senatu kandydował. Prawda to? – Spytał Charuj.

– Od tego ochlapusa? Panie, co pan! Toć un żadnej rodziny nie ma.

– To u was wszyscy na Fafuśnika głosują?

– Eee tam. Mało kto. Na Bambetla tośmy głosowali, bo był stąd. W Klabzdruniach mieszkał, tamój, za jeziorem, w gieesie robił. – Sołtys znów machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Jego żona za żywota jeszcze tamój mieszkała.

Charujowi w mózgu rozjarzyła się czerwona lampka. – To już nie żyje? – zapytał.

– A no nie żyje. Zaraz jak Bambetel za posta siem został, w wąpiach cosik siem jej przewróciło. Do śpitala jom wzieni, to i zmarła. Taki los. Nie było rady. A un to taki podobnieź był nieczasowy, że nawet na pogrzeb nie przyjechał, bo akurat miał psemawiać, albo cós.

Widząc, że sołtys nie uchyla się od udzielania informacji, Charuj postanowił podrażnić nieco głębiej: – To mówi pan, że ten Barłoga rodziny nie ma?

– A gdzie tam. Sam stary, żone ma staruchę, dzieciów nie mieli, nawet pociotków żadnych. Z tego żyją, co mu tam w polu z łaski Bożej wyrośnie.

– A brata nie miał?

– Nie słyszałem, żeby kogo rodzzonego miał. A i ciotecznych nie miał.

– A ten Fafuśnik przyjeżdżał tu kiedy?

– Gdzie tam. Nikto onego na ocy nie widział. Z afisza tylko wi-
dać, jak wygląda – tu sołtys machnął ręką wyraźnie w kierunku
plakatów na płocie. – A wy może od niego? – zainteresował się
nagle.

– Nie, my z gazety, tylko tak ogólnie chcemy wiedzieć – zdaw-
kowo odpowiedział aspirant. – Myśmy go też nigdy na ocy nie
widzieli.

W poniedziałek rano wszystkie media podały, że na waku-
jący fotel senatorski przytłaczającą większością głosów został
wybrany działacz polityczny i gospodarczy Eustachy Lechosław
Fafuśnik, i że jest to niewątpliwy sukces sił postępowych zwal-
czających lenistwo i nieróbstwo rządu. Komentator polityczny
telewizji publicznej był nawet zdania, że jest to celny cios wy-
mierzony w przegniłą tkankę i zdrowa cegiełka w cokole chwały
narodowej.

– A rodziny Barłoga jak nie było tak nie ma – podsumował
Charuj.– Fafuśnika mamy z głowy, bo już nikt o nic go nie zapy-
ta, a Psicki łowi barakudy na Karaibach. Ciekawi mnie tylko, co się

dzieje z „lapalomą”, bo skoro „małpa” siedzi, a wszystko w agencjach idzie normalnie, to może nie było żadnego zamachu stanu?

– „Maupa” zeznawa, że dla „kapusztą” my mały namber kounieźika. Teraz ja wydzi, że to prawda. Może dla „lapaloma” my teś mały namber? Może on szedzi wysoko, wysoko. Jemu nou uan nie wydzi i nie zna, nawet współpracniki? On big! Może on nie Barłóg i nie żadny trup, tylko „kapusztą”, cili Fafuśnik, albo jeśće węksi?

– Czyli kto? Premier? Marszałek Sejmu? Papież? – Charuj roześmiał się na to przypuszczenie.

O’Mlett nie zareagował, tylko nagle zmienił temat: – Ci u was każdy kongresmen ma ochraniaczów, znaczci bodygard dla siebie i rodziny?

– Nie, nie mają.

– To lasiego ten Bambetel i ziona od Bambetel mają?

– Nie mam pojęcia. O to trzeba by zapytać marszałka sejmu. Może było jakieś zagrożenie i sobie załatwili.

– Jake zagrożenie?

– Szefie, pojęcia nie mam! No, na przykład bał się terrorystów, albo pogróżki jakieś dostawał, albo dzieci ktoś mu chciał porwać, no, nie wiem w końcu, co jeszcze! A czemu się tym interesujesz?

– Polysja nie wi, że kongresmen zagrożony? Imposibility! To może ony mają prajwet ta ochrona. On płaci i on ma. – O’Mletto wi wyraźnie nie podobał się poseł Bambetel i jego żona, szczególnie po wycieczce do Bezdechów i wysłuchaniu opowieści o losach jego pierwszej połowicy.

Po przydługim oczekiwaniu na biurka O’Mletta i Charuja wpływęły wreszcie wyniki z badań laboratoryjnych materiałów zebranych podczas przeszukania agencji towarzyskiej przy Alei Bojowników Za Sprawę 25, a może 26.

Wynikało z nich niezbitcie, że DNA zebrane ze szczoteczki do zębów i apaszki jest w stu procentach zgodne z DNA zwałkowanych zwłok, znalezionych na śmietniku. Podobną zgodność ustalono również w stosunku do linii papilarnych pobranych z jednej ze szklanek i dłoni ofiary. Pozostałe ślady zabezpieczono, ale nie znalazły one odpowiednika w żadnym rejestrze, poza odciskami palców Zbyńka z krzywą mordą, ksywa „tajson”, co było zrozumiałe z uwagi na jego stanowisko w tej instytucji.

– No to wiemy, że szanowne zwłoki były obecne i piły wodę w tym burdelu, co było do przewidzenia, ale dalej nie wiemy, jak się nazywają – stwierdził Charuj. – Ja głosuję za tym, że ten truposz to pan lobbysta Barłóg, a ty jak myślisz?

– Ja olsou, sory, teś. On od herba bebechi.

– „Jelita” – poprawił aspirant.

– Ooo, yes, jelyta. To jest dowód, ale ne duży. My musimy miecz wężsi.

– No to podumajmy. – Charuj usiadł głębiej, przysunął sobie szklanekę z kawą i zaczął głośno myśleć. – Jeżeli zwałkowane zwłoki to Barłóg, który zrezygnował z kandydowania z uwagi na stan zdrowia i stało się to w dzień po znalezieniu jego ciała, to ktoś musiał przekazać o tym informację do mediów. Ten ktoś wiedział, że Barłóg jest bardzo chory, bo nie żyje. Z telewizji nie dowiemy się, kto ich poinformował, bo kanały publiczne byle psami pogardzają i niczego nie powiedzą zastaniając się tajemnicą. Poinformować musiała jakaś urzędowa szycha, której uwierzono na słowo, bo cynk od zwykłego obywatela sprawdziliby trzy razy. Taką grubą rybą mógłby być Fafuśnik, bo Psicki jest mniejszego formatu. Gdyby był tak samo wielki, toby nie uciekł przed wyborami. – Charuj odetchnął jak wieloryb cierpiący na astmę i napił się zimnej kawy. – Teraz „lapaloma”. Skoro dalej działa i posadzenie „małpy” nie zrobiło na nim wrażenia, to świadczy, że nie jest Barłogiem, ale znaczy, że mógł brać udział w jego usunięciu, bo stało się to bez żadnej wątpliwości na jego terenie. Krótko mówiąc jestem zdania, że Barłoga ukatrupili „lapaloma” i „kapusta” czyli Fafuśnik. Nie wiemy tylko za co, po co i w jaki sposób. A co ty o tym myślisz?

– Ja myślę, że ty topże myszliś. Ja teś myślę, że tak myślę.

Gdy rozkładali swoją koncepcję na czynniki pierwsze, zadzwonił inspektor Strzypiur i powiadomił ich, że pan poseł Bambettel w drodze łaski odstąpił od złożenia skargi za napaść, ponoć w celu wyciszenia niepotrzebnych emocji, które kolidują z intensywną budową dobrobytu. Dodatkowo radca prawny komendy był zdania, że panu posłowi wytłumaczono, iż zwyczajnie nie ma szans na zwycięstwo w tej wojnie i stąd odwrót, bo inaczej za cholereę by nie popuścił. Przy okazji radcy udało się zdobyć z kancelarii Sejmu pełne dossier pana posła i odczytał je O'Mlettowi przez telefon.

Charuj złapał za dodatkową słuchawkę i chciwie chłonał każde słowo. Otóż dowiedział się, że pan poseł jest powtórnie żonaty z Genowefą, z domu Fafuśnik, primo voto Kowalską, z wykształcenia fryzjerką i wychowuje dwie dorastające córki z jej pierwszego małżeństwa.

– O rany, ale numer! – aspirant zawył po wysłuchaniu wiadomości. – Jeżeli pani posłowa jest z domu Fafuśnik, to już teraz wiemy, czemu z niej taka wielka dama, co nie rusza się bez goryla, a córki chodzą w majtkach tylko od Armaniego!

– Pście ja mówiłem, że ona mi nie podoba się – zimno stwierdził O'Mlett.

– I teraz zrobiło się jasne, w jaki sposób pan poseł Bambetel kupił willę po niecałym roku postowania. Dam sobie łeb urznąć, że ten domek jest na nią! Brat pewnie w nią pompuje szmal i tworzy polityczną dynastię.

– A może ona sama też pumpuje śmal, bo gdzie ona jeździ, że jej nie ma? – O’Mlett z zaciętym wyrazem twarzy powtórzył swoje niedawne obiekcje. – My może musimy, żeby za nią ktoś jeździł w ogon.

– Nie zaszkodziłoby. – Potwierdził aspirant. – Tylko kto, bo ludzi nie ma i paliwa mało, a skutek może być żaden. Wtedy inspektor łby nam pourywa.

– Ja ciuje nosem, że skutek nie żaden! Nic nie będzie urwany!

Na tym stanęło. Jeden wywiadowca, mimo trudności obiektywnych, został wydelegowany do obserwacji żony pana posła. Przez następny dzień nic się nie działo, i drugiego dnia do południa, ale później nadeszła informacja, że pani posłowa z ochroniarzem pojechała czarnym audi na małą wycieczkę. W przeciągu popołudnia, wieczoru i następnego ranka zwiedziła połączone z knajpami domy schadzek w Dębem, Serocku, Wyszku i Radzyminie. Umordowany do granic możliwości wywiadowca nie był w stanie określić, co tam robiła, ale zauważył, że do każdego z tych obiek-

tów wchodził od strony zaplecza tylko ochroniarz, a pani postowa zostawała w samochodzie.

– Albo wizyta w ogóle ona nie tika, albo ona jest właścicielką i od roboty ma pracownicy – jadowicie stwierdził komisarz.

– Myślisz? Jeżeli, to już raczej nadzór albo kontrola. Właścicielkami są miejscowi. – Charuj bez sprzeciwu wpadł w tok myślowy przełożonego.

– Kontrol is kontrol, a nadziur co znać?

– Nadzorujący odpowiada za działalność nadzorowanego, a kontrolujący nie – Charuj w skrócie wyjaśnił ten problem prawny, choć w tym przypadku miałyby on drugorzędne znaczenie.

– Ooo, yes – O'Mlett uśmiechnął się z przekąsem – nawet w biurdel poządek muszy być in dy lau, jak w tor mynystery. Ale co ona tam robi? Ona jeździ do kochanek i nie wysiaduje z kara? W ćtery mejscia na jedna dzeń? Niemożliwe! Ona tam robi jakaś biznes!

– Też mi się wydaje, że z tą żoną postą coś jest nie tak. Jeszcze w dodatku jest z domu Fafuśnik. Warto by sprawdzić, kim był ten Kowalski, jej pierwszy mąż.

Charuj sprawdził. Po godzinie dostał odpowiedź z ewidencji ludności i z rejestru skazanych, że Wiesław Kowalski zginął w strzelaniu cztery lata temu. Oberwał breneką na dziki z obrzyna du-

beltówki. Podobno był przypadkową ofiarą, ale przedtem siedział za przemyt, stręczycielstwo i przekręty walutowe, czym naraził się prowincjonalnej grupie niejakiego „płaskiego”, który był antagonistą mocnego na tamtym terenie „kapusty”. Sprawcy nigdy nie wykryto.

Tymczasem wydział narkotyków powiadomił O’Mletta, że Zbysiek z krzywą mordą, zatrzymany podczas nalotu na agencję towarzyską, milczy jak mumia Tutenhamona. Straszili go na różne sposoby odpowiedzialnością za współudział w zabójstwie, a on nic. Widać tylko, że facet śmiertelnie się boi, tylko nie wiadomo kogo, bo na wspomnienie o „kapuście” czy Psickim, a nawet „małpie” uśmiecha się z lekceważeniem. Ten drugi zgarnięty goryl jest trochę rozmowniejszy, ale niewiele wie, bo to tępą osiłek, który dopiero zaczyna karierę. Puścił lekko farbę o jakimś transporcie, co miał dojść, a nie doszedł, ale szczegółów nie ustalono. Jak go zapytać o „lapalomę” to zaczyna się trząść i widać, że głodnego szczura można mu wpuścić w spodnie, a i tak nie powie. Widać z tego, że „lapaloma” działa i żadnego przewrotu pałacowego nie było.

– A wiecie coś o jakimś zatrzymanym transporcie? – spytał Charuj.

– Wiemy, że pod Wrocławiem miał stłuczkę tir z sedesami przeznaczonymi dla przedsiębiorstwa budowlanego na Podkarpaciu.

W sedesach znaleziono spore ilości kokainy, ale kierowca oczywiście o niczym nie wie. Jechał z Antwerpii, sedesy rzeczywiście są belgijskie, ale kokaina kolumbijska.

– A ustaliliście, co to za przedsiębiorstwo, do którego jechały te sedesy?

– Tak. To imperium Fafuśnika, ale sprzedał je ostatnio niejakiej Kowalskiej. Szukamy kobity, na razie bez skutku. Możliwe, że to tylko słup, Kowalskich w Polsce jest na pęczki.

– Charuj – powiedział nagle komisarz dziobąc palcem krawat aspiranta. – Ci ty pamiętasz ten poulisjant z piesem na skwer psi agencja?

– Pamiętam.

– On mówił, że ten istejt... znać ziemia pod biurdel należy do Kowalska, ale nikt onej nie wydział, i ony zaścielili nawet lajer! Pamiętasz?

– Kurczę, prawda! Tu Kowalska, tam Kowalska i pani posłowa primo voto też Kowalska. Może to zbieg okoliczności, a może nie. Komisarzu, jesteś wielki jak różowy słoń! Dusimy inspektora o środki i siadamy na ogon pani Bambetlowej.

O'Mlett roześmiał się szeroko na wzmiankę o słoniu. – Ty widźy? Nawet Amerikan nie muszy całkiem gupi. No to ty szada i sucha: Psi ten skwer stoi ci domy, jeden to biurdel, drugi to for rodzyna

kongresmen Bambetel, a cieci? Céci jest pusta ruina od „klamka”, co szedzi i na onego robią hanting w wasim Sing-Sing. Pierwsi należy do Kowalska, drugi, być może, do primo voto Kowalska, a cieci co? Do nikt? I tak sobie stoi? Ciebie zrobić kontrola, może on też do Kowalska! A jeżeli tak, to tam pusty powietrze? Niemożliwe!

– Kurczę blade, to się nam, jakby, składa!

Stanęło na tym, że utrzyma się obserwację osób z posesji przy Alei Bojowników, natomiast próba ustalenia, do kogo ostatecznie należy opuszczony dom „klamki”, natrafiła na niespodziewane trudności. Sąd prowadzący księgi wieczyste nie był w stanie podać żadnych danych, kancelaria notarialna ponoć prowadząca sprawę od dawna nie istniała, a dokumentacji nie można było odszukać w zasobach archiwalnych, wreszcie żaden organ nie dysponował danymi świadków transakcji. Krótko mówiąc Charuj stracił dwa dni i nie dowiedział się, kto ten dom kupił, od kogo i kiedy.

– Wy macie ustalić, wiecie, rozumiecie, kim był wasz denat, jaka była przyczyna jego śmierci i kto jest za nią odpowiedzialny, a nie babrać się, wiecie, rozumiecie, w sprawach spadkowych – krótko usadził ich inspektor Strzypiur, delikatnie poszturchany przez wyższych przełożonych za nieobyczajne wścibstwo swoich oficerów. Wynikało z tego niezbitie, że O'Mlett z Charujem wsadzili kij nie w to mrowisko, co trzeba.

W Alei Bojowników Za Sprawę 25, a może 26 panowała idealna cisza. Agencja jakby w ogóle nie istniała, żona pana pośta Bambelta czasami jeździła po zakupy, jej małżonek przykładowie wracał do domu po wyczerpującej działalności parlamentarnej, a ich córeczki przebywały gdzieś w świecie, bo nie pojawiały się w ogóle. Dom po „klamce” stał ciemny i pusty, tylko na jego bramie pojawiła się nowa kłódka.

Następnego dnia przed południem zaskoczyła O’Mletta i Charuja nagła wiadomość z Wronek, że znaleziono „klamkę” zakłutego w celi trzonkiem od łyżki stołowej. Kierownictwo więzienia było tym zbulwersowane, bo nic nie wskazywało na taki rozwój wypadków. Z uwagi na narzędzie nie wykluczano samobójstwa, choć trudno przypuszczać, aby ktoś sam sobie przez dół zaobojczykowy wpychał łyżkę w łuk aorty. Trzej współosadzeni niczego nie widzieli ani nie słyszeli.

– „Lapaloma” żyje i działa – stwierdził Charuj. – Wątpię, aby to było wykonanie wyroku wydanego dużo wcześniej. W więziennym światku na ogół w takich kwestiach panuje porządek, w przeciwieństwie do, na przykład, polityki. Skoro ponowiono wyrok po poprzednim odstąpieniu od wykonania, to znaczy, że „lapaloma” czegoś się boi. Czego? A na przykład tego, aby „klamka” czegoś przypadkiem nie powiedziała. Zajęliśmy się ostatnio badaniem pra-

wa własności do domu „klamki” i od razu najpierw mamy interwencję u kogoś ważnego w policji, a później definitywne wyciszenie ewentualnego świadka. Komu może zależeć na tym, abyśmy się nie dowiedzieli czyj to dom?

– Ućnił ten, komu z tego koziść. Jak to będzie po łączyna?

– Is fecit, cui prodest, o ile dobrze pamiętam.

Telewizyjny dziennik wieczorny przyniósł wiadomość, że pan prezydent powołał Genowefę Dianę de Bambetel na stanowisko doradcy do spraw integracji zwierząt futerkowych w prawdziwej rodzinie. Przedstawiając życiorys desygnowanej podkreślono, że już w przedszkolu i podstawówce była aktywistką na rzecz, a następnie zaangażowała się w długoletnią walkę w podziemiu, gdzie znano ją w środowisku pod pseudonimem „gołąbek” i była autorką znanego, do dziś aktualnego hasła łączącego nie tylko domowe zwierzęta futerkowe: „gdzie szmalcu kapkę, tam przyłóż łapkę”. Jednocześnie poinformowano, że władze dzielnicy postanowiły przekazać nieodpłatnie zrujnowany obiekt przy Alei Bojowników Za Sprawę na siedzibę utworzonej pod patronatem nowo powołanej fundacji na rzecz integracji zwierząt futerkowych w prawdziwej rodzinie.

O’Mlett i Charuj wysłuchali tej wiadomości z mieszanymi uczuciami, bo tracili wiodących świadków i przedmioty dowodowe,

a jednocześnie nominacja usprawiedliwiła brak znaczących sukcesów w śledztwie, jako że nikt nie odważy się rozbabrywać spraw stanowiących tabu.

– No to możemy odkręcić sobie kły i odłożyć na półkę – smutno stwierdził Charuj. – Całą naszą robotę można teraz o kant dupy potłuc, bo takiego szlabanu nie przeskoczymy.

– Lasiego? Przestępiec jest przestępiec, ci on ważny doradnik od kotów, ci nie! My cicho robym swoja dzob.

– Człowieku, na jakim świecie ty żyjesz. Robić możemy, ale chyba prywatnie, bo oficjalnie nam nie pozwolą, a jak się dowiedzą, to nam dokopią. To tak, jakbyś świętego chciał zabrać z ołtarza i sprawdzać, czy przypadkiem nie był pijakiem. Musisz poczekać, aż przestanie być świętym.

Rankiem następnego dnia, mimo święta, na posesję po „klamce” weszło przedsiębiorstwo budowlane „Kow-bud”, z miejsca zaczęło rozwalać płot i kłaść kamienną podmurówkę pod nowy. W tej sytuacji O’Mlett wycofał wywiadowcę, bo dalsza obserwacja wszystkich trzech willi nie miała sensu, tym bardziej że cały czas w pobliżu krążył radiowóz z dzielnicy, cichociemna beemka BORu i terenówka jakiejś firmy ochroniarskiej.

Panienki z agencji gdzieś zniknęły, może odjechały czarnym, terenowym dżipem, który znów pojawił się tam poprzedniej nocy.

Przyległy skwerek raptem zaczęła pilnie patrolować straż miejska, skutecznie przeganiając miejscowych pijaków, którzy i tak w listopadzie nie okupowali krzaków zbyt licznie.

Policjant pilnujący w szpitalu Aldony Pieścik zameldował, że po południu pojawiło się tam dwóch smutnych panów, którzy oświadczyli mu, że przejmują jego czynności. Policjant pytał, co ma robić, bo faceci podobno są z ABW i nie zamierzają ustąpić.

– Co znaczy „podobno”? – zapytał zaskoczony Charuj.

– Mają legitymacje, ale w dzisiejszych czasach to nic nie wiadomo – odrzekł skonfudowany policjant. O’Mlett skontaktował się natychmiast z inspektorem, ale odpowiedź, którą po dłuższej chwili otrzymał, bardziej zdumiała go niż uspokoiła:

– Wiecie, rozumiecie, odpuście kolego. Żadnego materiału z tej panienki i tak nie utoczycie, a po co wam ta wojna? No to wiecie, rozumiecie, na tyle.

– Ale ona ważny zeznawuje przeciw maupa! U onego muszy proces!

– Co będzie to będzie. Ślubu z nią nie braliście, spisanych zeznań nie macie, tylko na gębę, a taki świadek to wiecie, rozumiecie, co wam będę mówił.

Widać było wyraźnie, że inspektor dla czegoś nie chce zadzierać i poświęca temu celowi nawet sukces własnych podwładnych.

Charuj westchnął jak znudzony żubr i wycofał policjanta z kliniki. – No to teraz „małpie” możemy nadmuchać. Miał rację, że „kapusty” nie przeskoczymy – powiedział z rezygnacją. – Ciekawi mnie tylko, co ta Pieścik takiego wie, czego my nie wiemy i czego zdaniem ABW nie powinniśmy się dowiedzieć.

– Jeżeli Fafusznik to rzeczywiście „kapusta” – mruknął O’Mlett.

– A kto? Wszystkie puzzle do niego pasują.

– Ja zacinam wąpływoszczy, że ważny senator, biznesmen, co jemu syster doradzuje dla prezydenta i jest żiona od kongresmen, to jest zwykły „kapusta”! Ci to w jakim kraju możliwe?

– W Polsce możliwe. Może jeszcze gdzieś w środku Afryki. Zobaczysz, ten Fafuśnik jeszcze wystartuje w wyborach na prezydenta! A mnie od pewnego czasu taka myśl po głowie chodzi, czy przypadkiem „kapusta” nie jest powiązany z załatwieniem naszego denata, a Pieścik o tym wie. Bo jeżeli tak, to ją nie tylko odseparują, ale i całkiem unieszkodliwią. W końcu w szpitalu nietrudno o gwałtowne załamanie stanu zdrowia. A poza tym pomyśl, po co ten „małpa” chciał ją ukatrupić? Może właśnie zamierzył ją uciszyć w tej sprawie!

– Ty nie kracie, ty nie jesteś ciarny wron – z powątpiewaniem powiedział O’Mlett, ale i jego poruszyła trafność tego domniemania.

Upłynął kolejny tydzień, a śledztwo w sprawie zwałkowanego trupa na wysypisku dalej tkwiło w miejscu. Wydarzenia, jakie miały miejsce w czasie tego tygodnia, z różnych przyczyn nie zbliżyły O'Mletta i Charuja do jego rozwiązania. Nie uzyskano stuprocentowej pewności, że to zwłoki Zenona Barłoga, choć bardzo wiele na to wskazywało, ale prokurator nie chciał podpisać zezwolenia na pogrzeb nie mając bezspornego dowodu z identyfikacji. Rodziny denata w dalszym ciągu nie odnaleziono, choć nie było w kraju komendy policji, która nie usiłowałaby wykazać się w tej sprawie sukcesem.

Szukano również za granicą. Konsulat w Bogocie poinformował, że o żadnym Barłogu nic nie wie, natomiast jest zaniepokojony zaginięciem w niewyjaśnionych okolicznościach w okolicach Medellin polskiego wybitnego naukowca i działacza na rzecz ochrony zdrowia, niejakigo Józefa Psickiego, który przybył niedawno do Kolumbii w celu studiów nad uprawą niektórych roślin ekonomicznie użytecznych.

– Ani chybi zatłukli go tam w dżungli, wobec czego mamy facecia z głowy, a taki z niego naukowiec jak ze mnie baletnica – rzucił Charuj po wysłuchaniu informacji, ale O'Mlett podszedł do sprawy poważniej. – Z niego biła kolega od pan senator Fafusznik, co spsełdał sedesy z kokainą dla pani Kowalska. Znać ja tu wydzi związka.

Wieści z Wronek też nie były pocieszające. Miejskowa prokuratorka prowadząca śledztwo w sprawie śmierci „klamki” uparła się, że to samobójstwo i żadne logiczne argumenty do niej nie docierały. Osadzony był, jej zdaniem, psychopatycznym samouszkodzeniowcem, a to, że uprzednio dwukrotnie chciano go zabić, to tylko zbieg okoliczności. Wepchnięcie sobie trzonka łyżki w łuk aorty było, jak dowodziła, jego normalną reakcją na otrzymanie tego dnia na śniadanie sera, którego nie lubił. Nawet w związku z tym poseł ziemi wroneckiej Kleofas Maria Kubeł wniósł interpelację do ministra sprawiedliwości, dlaczego więźniom podaje się niedoskonałe smakowo produkty mleczarsko-jajczarskie i czemu rząd ma w tym szczególny interes. Sprawa będzie rozpatrywana na najbliższym posiedzeniu Sejmu, w debacie przedłużonej.

Kierowca tira z sedesami i kokainą, który miał stłuczkę pod Wrocławiem, w niewyjaśnionych okolicznościach zniknął z policyjnej izby zatrzymań, a jego poszukiwania ślimaczą się z powodu braku sił i środków. Prokuraturze też jakoś nie bardzo zależy na ciągnięciu tej sprawy, a nawet wspomina się o możliwości umorzenia z uwagi na znikomą szkodliwość społeczną.

Z komendy w Suwałkach napłynęła informacja, że dom we wsi Bezdechy, którym interesowano się w ramach poszukiwań Zenona Barłoga, w rzeczywistości należy do pana senatora Fafuśnika

i stanowi jego letnią rezydencję. Biuro notarialne, które tydzień temu twierdziło, że żadnych dokumentów na ten temat nie ma, ostatnio odkryło sporządzony na podstawie zeznań świadków zapis hipoteczny bezspornie ten fakt potwierdzający. Niekompetentnego urzędnika napiętnowano surową naganą bez wpisania do akt i karnie przeniesiono na wyższe stanowisko w innym biurze.

Wydarzeniem z ostatnich godzin, które szczególnie zbulwersowało Charuja, było zatrzymanie przez CBA ordynatora ortopedii w klinice chirurgicznej, w której leżała Aldona Pieścik. Profesoro- wi zarzucono działania korupcyjne, miał bowiem przyjąć od osoby odwiedzającej tę pacjentkę doniczkę z kwiatkiem, czekoladkę i dwa cukierki w zamian za obietnicę przyspieszenia zdjęcia gipsu. W czasie przeszukania ujawniono w jego gabinecie długopis marki zenit nie pochodzący z zakupów szpitalnych i paczkę kawy mielonej, które to przedmioty zabezpieczono jako dowody rzeczowe.

Sprawa była poważna, gdyż jedyną osobą odwiedzającą Aldonę Pieścik był sam Charuj, a z ordynatorem mijał się na korytarzu. Na- leżało więc logicznie zakładać, że CBA prędzej czy później do niego dotrze i zarzuci mu korumpowanie lekarza.

O'Mlett powiadomiony o sytuacji roześmiał się serdecznie, bio- rąc tę informację za wspaniały dowcip, ale aspirant szybko spro- wadził go na ziemię:

– Nie śmiej się! Dla nich taka afera to sam miód na serce. Wyobrażasz sobie te nagłówki w gazetach? „Policjant korumpuje lekarza”, albo „Czy profesor współpracuje z szantażującą go, skorumpowaną policją?” Od razu z pustego robi się draka na dwanaście fajerek i już od jutra nikt nie będzie mówił o niczym innym.

– No to co możemy zrobić?

– Właśnie cały problem polega na tym, że nic. Możemy się modlić.

– Kolera jaśna, psza mać! Ale to bzdura!

– Dokładnie. Bzdura nie bzdura, a CBA zawsze ma rację, tak jak u was FBI.

Nadszedł przeciek z prokuratury, że nie postawiono żadnych zarzutów „tajsonowi” i drugiemu ochroniarzowi z agencji towarzyskiej, ponoć z braku dostatecznych dowodów, i że w związku z tym rozpatruje się możliwość umorzenia postępowania. – Nie wiem, jakie dowody dla szanownej pani prokurator mogłyby być bardziej dostateczne – stwierdził Charuj i przeszedł nad sprawą do porządku dziennego, bo w końcu tych dwóch facetów to mały pikuś w porównaniu z rekinami, z którymi mieli do czynienia.

Remont domu po „klamce” przy Alei Bojowników, mimo niesprzyjającej pogody, posuwał się w błyskawicznym tempie. Liczne ciężarówki dowożące materiał zamieniły w bagno nieutwardzoną

drogę dojazdową, ale już z jej drugiego końca rozpoczęto układanie szarej i czerwonej kostki w gustowne romby. Limuzyny pana pośle Bambetla i jego żony musiały szerokim kołem objeżdżać to badziewie, ale nikt z tego powodu nie protestował.

Dwa dni później sąd cofnął „małpie” areszt i wypuścił go na wolność za kaucją w wysokości stu tysięcy złotych. Prokurator miał złożyć zażalenie na tę decyzję, ale jakoś dotychczas nie złożył i swobodny „małpa” zniknął w szerokim świecie. Podobno zatrzymano mu paszport, ale dla tak ustawionego faceta nie stanowiło to większego utrudnienia w poruszaniu się na obszarze od Tallina do Lizbony wzdłuż i od Rovaniemi do Palermo w poprzek.

– No to wygląda na to, że stan naszego śledztwa na dzisiaj jest taki sam, jak w dniu znalezienia zwłok tego denata na śmietniku – smutno powiedział Charuj. – Nie wiemy kto to zginął, jak i dlaczego, świadków nie mamy i musimy zaczynać od początku. To, co mamy, jest domniemaniem.

– Rešta jest mylćeniem – ponuro, ale z półuśmiechem stwierdził O’Mlett.

– Co cię tak wzruszyło, że cytujesz „Hamleta”, i to po polsku?

– Bo to ćisty Śekspir, naobkoło dużo trupy, poćebny tylko jaki duch, co nam pręko mówy hu is hu i od razu my parso mądre.

Charuj roześmiał się, rozładowany z narastającego stresu.

Po dwóch dniach duch rzeczywiście ukazał się w postaci informacji z Bogoty. Konsulat doniósł, że kolumbijskie siły rządowe podczas akcji likwidacyjnej mafijnych plantacji odnalazły ciało polskiego obywatela Józefa Psickiego, jak stwierdzały znajdujące się przy nim dokumenty. Denat został zarąbany maczetami przez nieznaną sprawców, którzy najprawdopodobniej później sami zginęli w akcji. Przy zwłokach, poza dokumentami osobistymi, znaleziono kilkanaście wizytówek, w większości nieczytelnych z uwagi na ich stan, ale trzy z nich zdołano odcyfrować i przekazano ich treść konsulowi. Pierwsza z nich nosiła nazwisko Jean Cl. de Parapluie, directeur, osoby nieznaną konsulowi, ale dobrze znanej miejscowym organom śledczym, dwie pozostałe natomiast, zdaniem konsula, były biletami należącymi do Polaków. Jedna z nich, nie określająca zawodu ani adresu właściciela, zawierała tylko nazwisko Eustachy Fafuśnik, a ostatnia była złotym biletem wizytowym, opatrzonym herbem wyobrażającym trzy skrzyżowane kopie i nosiła brzmiący nieco archaicznie nadruk: dr Zenon Felicjan hr. Barłóg, rezydencja Bezdechy 23, i numer telefonu komórkowego. Konsul prosił o powiadomienie bliskich Józefa Psickiego celem załatwienia formalności pogrzebowych.

O'Mlett z emocji zerwał się z krzesła i walnął otwartą dłońią Charuja w plecy, aż aspiranta na chwilę zatkało.

– No to my mamy w naszą sztukę, jak w „Hamlet”, nekst trupa, ale my jego nie ciekawieni. My interesowani złoty wiziting kard od Zenon Barłóg. To potwierdzuje, że nasz zwłok to Barłóg i koniec, kropka! Ćeba do prokurator, on niech dawa order do pogrzeb. Niech na tumb napisują Barłóg i fpożądku!

Charuja nie zdziwiła spontaniczna radość przełożonego, bo i on miał już dość ustalania tożsamości tego zwałkowanego trupa, ale opanował emocje i podszedł do sprawy bardziej racjonalnie. – Najpierw – powiedział spokojnie – musimy dostać z Bogoty i zobaczyć na własne oczy tę wizytówkę Barłoga, a później zastanowić się, dlaczego my tu w Polsce nie znaleźliśmy ani jednej takiej karty. Przecież to nie jest możliwe, aby ten strugający arystokratę gość nie miał więcej wizytówek. Komuś gdzieś musiał je wręczać, skoro jedną z nich dostał świętej pamięci pan Psicki. Wiesz co, komisarzu? A może byśmy się jeszcze raz przejechali do tych Kluchów, ale tym razem do sołtysa i do gminy.

– Możemy, ale ja myszli, że to będzie aniksplouded... znaći żadny bum bum. Ja myszli, że on zrobił te wiziting kards dopiero jak zobaćił bebechi... znaći tego herba jelyta. Psiedtem on nie myszlał, żeby on hrabia. Piersie on zobaczał, a drugie robił wiziting kards, to do gminy on ich nie dawa, bo jeście nie wi, że on hrabia.

– A że hrabia jego zdaniem musi być przynajmniej doktorem, to kazał wydrukować sobie „dr” przed nazwiskiem? Może masz rację, do takiego szpanera wszystko podobne. Mógł kazać napisać sobie „prof. dr”, co mu zależało. Teraz różne stuprocentowe ćwoki po niepełnej podstawówce z populistycznych partyjek mają tytuły doktorów honoris causa, a nawet profesorów od świeżego powietrza, to czemu nie? Ale mimo to zaryzykowałbym jazdę do tych Kluchów.

Szarym, deszczowym rankiem pojechali. Charuj prowadził ostrożnie, bo na dywanie z opadłych liści ślisko było jak diabli, a do tego miejscami mgła i dziury w asfalcie po zeszłorocznych, nie tkniętych przez drogowców, pozimowych przełomach. Toyota amortyzatory miała raczej nieobecne, po takim przebiegu obliczone zapewne na użytek kamikadze, więc jazda ślimaczyła się im w nieskończoność.

– Po taka droga najlepsi mylitary dżip albo hamer – mruknął O’Mlett po kolejnym podskoku na niewinnie wyglądającej kałuży.

– A jeszcze lepszy „apacz” albo dwumiejscowy F–16, może być bez rakiet.

– A może ty życzy „abramsa”? – podchwycił komisarz.

– Ewentualnie, tylko trochę za dużo pali. Polskiej policji nie stać.

– Ale za to ma duży gan. Ty nie muszy go cimać pod pachą.

Mimo kłopotów dojechali jeszcze przed południem. Przed wążącą się rudera pałacyku nie było w rowie dziadka z kozami, a dwieście metrów dalej okazało się, że softys był w swoim obejściu i coś tam wiał czy młócił, ale przerwał robotę i nawet zaprosił ich do domu, bo właśnie zaczęło lać.

O'Mlett z Charujem tym razem nie ukrywali swojej tożsamości ani zasadniczego celu wizyty. Po prezentacji zapytali softysa wprost, czy zna pana Zenona Barłoga i co wie na jego temat.

– Ja tam, panie, nic nie wiem – ostrożnie wyjaśnił softys, powoli siorbiąc gościnną herbatę. – Jakoś tak jesce latem był tu ten niby dziedzic, co mu tę jego ojcowiznę oddali. Z gminy rozpiskę pokazał, że niby pałacyk tera na powrót jego. Zapodał, że rejmont będzie robił i tyle, panie, wszystkiego.

– A potem ile razy tu jeszcze był?

– Ani razu. Jak wtedyk był, tak i więcy nie psyjechał. Tylko te insze byli ze dwa razy, co niby mieli toto remontować.

– A jak się nazywał ten dziedzic?

– Takom karteczkie zostawił. Gdzieś ją jesce tu mam, dzieciska się nim bawili bo cała złota, ale gdziesik powinna być! – Softys przewrócił dwie szuflady w kuchennym stole i w końcu znalazł. Był to złoty bilet wizytowy z nadrukiem o treści „dr Zenon Felicjan hr. Barłóg”, taki sam, o jakim wspominał konsul w Bogocie.

– Czy ten pan oglądał pałacyk w środku? – spytał Charuj mając nadzieję, że znajdzie tam coś potwierdzającego wizytę nowego właściciela.

– A obglądał, obglądał. Nawet nocowali tamójk, un i te jego ludzie, co z nimi przyjechał. Ale więcej pili niż nocowali. Od sklepowej cały ankoł wżieni, co na składzie miała! A i dziewczuchy tamójk chcieli ciągać, ale żadna po dobroci nie poszła, bo to takie niegżeczne ludzie byli, co zara z ręcami pod kieckę.

Podziękowali sołtysowi, zabrali mu wizytówkę i podjechali pod dworek. Kłódką na drzwiach wisała jak podczas poprzedniej wizyty, wobec czego Charuj zaryzykował wejście przez jedno ze słabiej zabezpieczonych okien parteru. W środku znaleźli kilkanaście butelek i kilka szklanek różnej wielkości, które ostrożnie włożyli do foliowych torebek otrzymanych od sklepowej. Odkryli jeszcze brudną chustkę do nosa porzuconą pod stołem i zardzewiały otwieracz do konserw. Żadnych ubrań, śpiworów czy koców nie było, wobec czego zabrali znalezisko i wycofali się ostrożnie tą samą drogą, którą weszli. Deszcz siąpił dalej i nikt ich nie obserwował, więc nie było świadków przeszukania, niemniej O'Mlett był zdania, że nie nastąpiło tu rażące naruszenie procedury.

– Tu nie JuEsEj – odpowiedział na obiekcje Charuja – Żadny lajer na nas nie napaduje. My na nikogo nie oskarżujemy. My śiu-

kamy dowoda ajdentifikejszyn, a nie killing, cili fśistko fpożądku. No to go!

Po krótkiej naradzie postanowili, że nie pojedą do gminy, bo wizyta w urzędzie w zasadzie niewiele im da. Najwyżej uzyskają oficjalne potwierdzenie, że Zenon Bartóg rzeczywiście załatwiał tam kwestię kupna pałacyku, o czym wiedzieli i dla ich celów nie miało to żadnego znaczenia. Przecież nie tam i nie w tamtym czasie tego Bartóga zamordowano.

W komendzie byli po czterech godzinach. Znaleziska powędrowały do laboratorium, a Charuj zasiadł do pisania raportu usprawiedliwiającego niekonwencjonalny sposób postępowania. O'Mlett kazał sobie odczytywać każde kolejne zdanie, ale do dyktowania się nie brał słusznie przewidując, że jego sformułowania mogłyby wywołać ogólną wesołość.

Inspektor przeczytał raport i nie wyraził swojego zdania. Jedy-
nym komentarzem było stwierdzenie: – No tak, wiecie, rozumie-
cie, znaczy, wiecie, ja też w końcu rozumiem, że nareszcie wiecie.
– Co oni nareszcie wiedzą i czego inspektor nie rozumiał, a teraz
rozumie – przełożony nie wyjaśnił.

Kierowcy tira z sedesami dotychczas nie znaleziono. Kokaina
powędrowała do magazynu komendy, a sedesy wraz z ciągnikiem
i naczepą kazano odebrać właścicielowi duńskiej firmy przewo-
zo-

wej, odpowiedzialnej za pojazd i ładunek. Przedstawiciel tej firmy na Polskę też oczywiście o żadnej kokainie nie wiedział, no bo i skąd. Właściciel, Norweg mieszkający w Australii, był nieuchwytny i tir pozostał na policyjnym parkingu zajmując sporą część jego powierzchni.

– Ta kokaina warta jest dużo więcej niż te sedesy razem z tirem – Charuj rzeczowo podsumował akcję. – Ciekaw jestem, jak teraz adresat przesyłki zabierze się do jej odzyskiwania.

Następny dzień przyniósł nieoczekiwaną informację z kliniki chirurgii urazowej, w której leczono Aldonę Pieścik. Oto jej stan poprawił się na tyle, że zażądała wypisu na własne życzenie. Lekarz prowadzący był zdecydowanie przeciwny przerwaniu kuracji, ale wobec uporu pacjentki niewiele mógł zrobić. Wszelako w dniu planowanego opuszczenia przez nią szpitala nastąpiło nagłe załamanie stanu zdrowia i Aldona Pieścik zmarła w wyniku, jak ponoć stwierdzono, postępującej niewydolności krążenia.

O'Mlettem ta wieść nieomal rzuciła o ścianę. – Dwadźsetoletnia girl i niewidolnoszcz sercowa? Niemożliwość! Najpierw ona żąda, że wychodzy aut, a zaraz potem deed? To nie może być żaden psipadek! Nesesery robić outopsi!

– Sekcję pewnie zrobią – smutno stwierdził Charuj. – Ale czy ty myślisz, że się czegoś dowiesz? Powiedz ci tylko tyle, co w akcie

zgonu. Albo zmarła, co jest możliwe, z przyczyn naturalnych, albo ktoś jej pomógł. Jeżeli ten ktoś jest tak mocny, że mógł zabić ją w szpitalu, to na pewno zadba o korzystny dla niego wynik sekcji. Musiałbyś zażądać autopsji w niezależnym ośrodku z udziałem niezależnego prokuratora, a na to na pewno ci nie pozwolą, bo to byłoby jawne oskarżenie o morderstwo.

– Co znać „niezależnego prokuratora”? Każdy prokurator jest niezależny!

– Człowieku, zjedź na ziemię. Chciałeś ustalić tylko prawo własności domu przy Alei Bojowników, a i na to ci nie pozwolili. Chciałeś posadzić „małpę” za ciężkie pobicie, a niezależny sędzia go wypuścił. Chciałeś wykryć sprawcę zadżgania „klamki” w pudle, ale niezależny prokurator ci to uniemożliwił. Chodź, napijmy się kawy, albo lepiej wódki za duszę tej Pieścik!

Rano doniesiono im, że w miejscowości Zaklępnizna Poduchowna za Radzyminem, na zapleczu baru „Chlup-Pub” znaleziono ciało niejakiego Bartosza Plukwy, niedawno zwolnionego z aresztu. Denatem okazał się tępawy osiłek z małym łebkiem, ochroniarz z agencji przy Alei Bojowników, podwładny „tajsona”. Przyczyną śmierci było najprawdopodobniej nadużycie alkoholu zmieszanego z podanymi dożylnie narkotykami. Przy zwłokach znaleziono komórkę z odebranych ostatnio eseme-

sem o treści „Nie skacz, rób co kazała, bo ją wkurzysz”. Z zeznań świadków wynikało, że delikwent przybył do baru już podcięty poprzedniego dnia wieczorem w towarzystwie dwóch szemranych gości i nawalił się jak stodoła, tak że po godzinie był nie do użytku. Tych dwóch trzeźwiejszych wyprowadziło go i to wszystko. Esemesa nadano z nieustalonej komórki na kartę. Czas zgonu będzie znany po sekcji, ale najprawdopodobniej zejście nastąpiło przed północą.

Fakt sprzątnięcia ochroniarza nie zdziwił Charuja. W końcu facet był rozmowniejszy od „tajsona” podczas przesłuchań i tak tępy, że mógł być przez to niebezpieczny. Zastanowił natomiast aspiranta otrzymany przez denata esemes. Wynikało z niego, że jakaś „ona” coś mu kazała zrobić, czego nie wykonał, tylko „skakał”, co groziło „jej wkurzeniem”. Charuj usiadł naprzeciwko O’Mletta i zaczął głośno myśleć:

– Po pierwsze jaka „ona”. W tej robocie na ogół rozkazują same chłopcy. Po drugie ta „ona” musi być bardzo mocna, skoro ktoś strofujący denata, czyli ważniejszy od niego, boi się „jej wkurzenia”. Po trzecie co „ona” kazała mu zrobić i czego on nie zrobił, i po czwarte wreszcie, czy jego śmierć była wynikiem niesubordynacji i kary nakazanej przez „wkurzoną”, czy też była przypadkowa. Pomyśl, komisarzu, i powiedz, co wymyśliłeś.

O'Mlett milczał przez dobrą minutę, wreszcie ostrożnie zaczął: – O ile ja rozumiem w polsky, to „lapaloma” grammatikalnie jest „ona”, czyli feminin. Może ta ona, znaczy „lapaloma”, wcale nie żadna „ona” tylko on, znaczy normalny chłop, a tylko mówię się o nim „ona” dla szyfry. Ale gdyby to nieprawda, to może być, że „ona” jest kobita, czyli „lapaloma” jest kobita. Ci ty mnie rozumiał?

– Pewnie że rozumiałem.

– No to suchaj. W JuEsEj dużo latinosy i ony mówią hiszpańsz. Ja mało słowa rozumiem, ale wiem, że „la paloma” w hiszpańsz to jest „gołąb” po polsky. A ty pamiętaj, jak w tywi mówili, że pani Bambetel, co teraz doradza pan prezydent od kotów, w konspiracyjnym czasie była pseudonim „gołąbek”? No, teraz ty dużo myślisz.

Charuj myślał pięć minut, a komisarz mu nie przeszkadzał.

– Dobra – powiedział po dłuższej chwili – przyjmijmy, że „lapaloma” to pani prezes Genowefa Bambetel, ale jak teraz tę straszną herezję udowodnić? Przecież najmniejsza wzmianka, nawet piętrowa sugestia rzucona żartem, spowoduje natychmiastową lawinę, która pochłonie nie tylko nas, ale i całą komendę, z inspektorem, stanem osobowym, bufetem, sprzętaczkami, myszami i karaluchami! Człowieku, to byłby wybuch jądrowy w szambie!

Popatrzyli na siebie bez słów i osiągnąwszy pełną jedność emocjonalną wypili po dwie duże kawy. Potem obiecali sobie, że nie odpuszczą choćby nie wiem co.

– Ja jestem Emeriken – zimno stwierdził O’Mlett. – Co ona my zrobi? No co? Zaścili jak Al Capone?

Po kolejnych dwóch dniach poinformowano ich, że sekcja Plukwy nie wniosła nic nowego do sprawy. Rzeczywiście po pijaku wstrzyknięto mu heroinę w dawce przekraczającej wytrzymałość tyranorexa i przekręcił się we śnie, między pustymi beczkami po piwie na zapleczu baru „Chlup-Pub”. Poszukiwania sprawców były w toku, a miejscowa komenda udawała, że jest na ich tropie.

Następnego ranka media przyniosły interesujący nius. Oto pani prezes Genowefa Bambetel udała się z dwoma tłumaczami i wizą do Stanów w celu prowadzenia negocjacji w sprawie dotacji kongresu na rozwój programu ochrony zagrożonych wystrzelaniem gatunków chronionych w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem zwierząt futerkowych współżyjących w prawdziwej rodzinie. Przewidywano liczne spotkania w departamencie stanu i lancze z kongresmenami oraz zakupy u Tifaniego.

Jeszcze w czasie wojażu pani prezes O’Mlett dostał informację z laboratorium, że na dostarczonej przez niego chustce do nosa wyodrębniono DNA zgodne z DNA włók NN znalezionych na

śmietnisku oraz DNA ze szczoteczki do zębów i apaszki uzyskanych w wyniku przeszukania pomieszczeń agencji towarzyskiej przy Alei Bojowników. Linie papilarne zebrane z jednej ze szklanek odpowiadały również liniom pobranym z tych samych zwłok.

– Fantastik – powiedział komisarz – jak prokuratoru jeście mało, to ja się chyba powieśię! Teraz to już muszy pogrzebywać tego Barłoga.

Rzeczywiście, tym razem prokuraturze, po namyśle, wystarczyło dowodów identyfikacyjnych i wystawiła zgodę na pogrzeb ofiary, nie wnikając kto to zrobi, kiedy i za ile. W piśmie ujęto pełne dane zaczerpnięte żywcem z wizytówki denata, na skutek czego Charuj wpadł w stan nieobyczajnej wesołości.

– Widzisz? – powiedział do O'Mletta. – Nie wiadomo kim był za życia, ale po śmierci został hrabią i doktorem, i takim już zostanie na wieki. Opłacało mu się!

Po powrocie z USA pani prezes Bambetel nie zwołała, jak się spodziewano, konferencji prasowej celem przedstawienia wyników wizyty, ale media doniosły, że pobyt i rozmowy były szczególnie owocne, wzmocniły, dały nadzieję, zacieśniły i w ogóle. Poinformowano również, że dyrektorem fundacji na rzecz zwierząt futerkowych został pan Jan Małopanek. Wątpliwości niektórych nieodpowiedzialnych żurnalistów, czy człowiek, któremu grozi

proces za ciężkie pobicie i handel narkotykami może piastować tak odpowiedzialne stanowisko, zostały rozwiane zdecydowanym wystąpieniem rzecznika prasowego. Pouczył on niezorientowanych dziennikarzy, że oskarżenia są bezpodstawne, kłamliwe i stanowią insynuacje obliczone na zysk polityczny, tchórzliwie wysuwane z za węgła przez wsteczne siły mające na celu stałe szkodenie społeczeństwu. Krótko mówiąc przeciwnicy mądrych decyzji pani prezes stoją tam, gdzie stało ZOMO.

Pogrzeb doktora nauk nieznanych, Zenona Felicjana hrabiego Barłoga odbył się na koszt miasta, jako że nie udało się odnaleźć jego rodziny. O'Mlett i Charuj pojawili się na tej uroczystości, przebrani za pozornie zwykłych obywateli z gnatami pod pachą. Pochówek odbył się w asyście księdza, mimo że nikt nie wiedział, jakiego wyznania, poza finansowym, był drogi zmarły, wobec czego zadziało w drodze domniemania. W obrzędzie, poza O'Mlitem i Charujem, brał udział jakiś przedstawiciel władz municypalnych, ksiądz i czterech grabarzy, z czego dwóch pijanych. Uroczystość trwała sześć minut i nieutuleni w żalu uczestnicy rozeszli się, każdy w swoją stronę. W prasie codziennej nie było na ten temat żadnej wzmianki.

Rachuby komisarza na to, że na pogrzebie pojawi się być może ktoś z dawnych znajomych denata, kogo dałoby się zidentyfiko-

wać, spędżył na niczym. Zenonem Barłogiem otwarcie nie zainteresował się pies z kulawą nogą, mimo że za życia był on niewątpliwie człowiekiem majątnym i obracał się w towarzystwie równych sobie. Dowodziło to, zdaniem Charuja, że jego śmierć była przyjaciółom do tego stopnia na rękę, że aż postanowili się nie ujawniać. Nie rozwiązywało to wszakże kwestii sposobu zejścia z tego świata i ewentualnego udziału osób trzecich.

Profesor ortopeda, ordynator w klinice chirurgii urazowej, w której leczyla się i zmarła Aldona Pieścik, zatrzymany przez CBA za korupcję dalej siedział. Co prawda eksperci stwierdzili, że wręczenie komuś kwiatka w doniczce nie nosi cech korumpowania, ale ścigający byli zdania, że kwiatkiem, być może, skorumpować nie można, ale doniczką już tak, bo to przedmiot trwały i stanowi dla zatrzymanego element wzbogacenia. Poza tym lekarz nie przedstawił rachunku na zakup długopisu, który wykryto w jego gabinecie, i nie dano wiary nieudolnemu tłumaczeniu, że budka z gazetami na dworcu, gdzie długopis kupił, rachunków nie wystawia. Dodatkowe wyjaśnienie, że długopis został kupiony razem z „Gazetą Wyborczą” uznano za okoliczność obciążającą. Prokuratura nie bardzo wiedziała, jak ma w tej sytuacji postąpić, a w klinice wstrzymano planowe zabiegi i zwolniono dwóch bezrobotnych z tej przyczyny anestezjologów.

Jak na razie nikt nie wywłócił Charuja z łóżka o czwartej nad ranem z tego powodu, że minął się z zatrzymanym profesorem na szpitalnym korytarzu, ale w każdej chwili antykorupcyjni śledczy mogli wpaść na jego ciepły trop, tym bardziej że nie byłby w stanie udowodnić, że nie dał lekarzowi kwiatka w doniczkę.

Intensywny remont domu po „klamce” w Alei Bojowników jeszcze trwał i rezydencja fundacji na rzecz zwierząt futerkowych nie była gotowa, a więc nie było wiadomo, gdzie urzędują pani prezes Bambetel z panem dyrektorem Małopankiem. Ta niewiedza szczególnie utrudniała życie O'Mlettowi, który poprzysiągł sobie udowodnić, że pani prezes to „lapaloma”. O tym domniemaniu wiedzieli tylko on i Charuj, dla bezpieczeństwa nie poinformowano nawet szefa od przestępczości zorganizowanej ani nikogo z przełożonych. Tymczasem agencja towarzyska sąsiadująca z domem posła Bambetla definitywnie zakończyła działalność. Budynek opustoszał, a po terenie tylko od czasu do czasu jeździła jakaś maszyna ogrodnicza, ale też coraz rzadziej, jak to w listopadzie. Mieszkał tam zapewne tylko dozorca dbający o to, by dom nie padł w ruinę.

– No to mamy na rozkładzie pięć trupów i żadnych sukcesów, którymi można by się pochwalić – powiedział Charuj pewnego ranka. – Licząc od Barłoga zeszli jeszcze z tego świata Psicki, „klamka”,

Aldona Pieścik i ten Plukwa, któremu walnięto złoty strzał z heroiny. Wygląda na to, że znikają świadkowie działalności klanu Fafuśników. Ze znanych nam żyją jeszcze „małpa” i „tajson”. „Małpa” ostatnio awansował, ale o „tajsonie” nic nie wiemy. Z kandydatów na senatora żyje tylko ten, co wygrał. Na pogrzeb drugiego nikt nie przyszedł, a trzeciego pewnie zakopią gdzieś w dżungli, chyba że rodzina go sprowadzi na własny koszt. On był jakimś działaczem katolickim podobno, może kościół go sprowadzi, ale wątpię.

– No to my gźecznie ćekamy, że jaki kałboy zaścili „tajsona” – podchwycił O’Mlett. – Maupy nikt nie śćieli, bo on dyrektor i press o nim wi. Nie zaścili teraz, to zroby to może później.

– Popatrz Egg – Charuj chyba po raz piewszy zwrócił się do O’Mletta po imieniu. – Nikt nas nie ponagla, żebyśmy ustalili przyczynę śmierci Barłoga. Normalnie w takich przypadkach to mielibyśmy na głowie inspektorów, prasę, telewizję, polityków i Bóg wie jeszcze kogo. A tu cisza jak w krypcie rodzinnej w noc bezksiężycową, nawet wampira nie uświadczysz!

– Ty nie wiwołuj kojota z prerii, ci jak to sze u was mówi. Ja nie chcem żadnego wampira, wampir jest meksykański netopesz.

W południe dotarła do nich informacja z komendy w Jeleniej Górze, że w wyniku obławy w górach pod Karpaczem ujęto niejakiego Petera Drajwera, zbiegłego z aresztu kierowcę tira z sedesami, który

miał stłuczkę za Wrocławiem. Obławę zakończoną strzelaniną prowadzono za poszukiwanym bandytą o ksywie „popychacz”, który niedawno zgwałcił proboszcza i jego dwie gospodynie oraz perfidnie chwalił się tym czynem uniemożliwiając im tym samym nielegalne dokonanie aborcji. Drajwer wpadł przez przypadek, niejako przy okazji, bo przyłączył się do „popychacza” i ścigającym nijak było go wypuścić, mimo że poprzednio otrzymali cichą instrukcję, aby go jako obcokrajowca zbyt aktywnie nie szukać. Po powtórny zapuszkowaniu Drajwera miejscowe służby śledcze chcąc nie chcąc zainteresowały się jego telefonem komórkowym, cały czas leżącym w policyjnym depozycie, i po jego zbadaniu wykryły dwa esemesy. Jeden wysłany z niego na numer Aldony Pieścik, czyli rzeczywiście Zenona Barłoga, i to w dniu jego śmierci, i drugi, który kierowca otrzymał. Treść pierwszej wiadomości, pozornie zwyczajna dla kontaktów z rodziną kierowcy jadącego w dalekiej trasie, z miejsca postawiła O’Mletta i Charuja na nogi. Esemes brzmiał: „Z Antwerpii sobota rano. Towar ok. Powiedz gołąbeczce będę poniedziałek wieczór.” Drugi, późniejszy esemes, który kierowca otrzymał, brzmiał: „jedź punkt B”. Na zniszczonej karcie, połączony przez Barłoga, treści tych esemesów nie odszyfrowano, a i operator nie mógł niczego konkretnego powiedzieć.

– Znowu „ona” – z satysfakcją powiedział Charuj, nalewając komisarzowi i sobie trzecią kawę. – „Powiedz gołąbeczce”, czyli

„jej”! Ustaliliśmy, że komórki na nazwisko Pieścik używał Bartóg. Wcale jej nie ukradł ani znalazł, tylko miał ją od początku, czyli musiał być łącznikiem pomiędzy kierowcą tira z narkotykami, a „nią”, przynajmniej w tym przypadku. Dlaczego kierowca bezpośrednio do „niej” nie dzwonił, albo my o tym nie wiemy. Może nie mógł czy nie chciał, a może „ona” była zbyt zakonspirowana, by do niej bezpośrednio dzwonić. Wątpię, abyśmy się czegoś od tego Petera Drajwera dowiedzieli. Co o tym myślisz?

– Myślę, że psiemawiaj dalej.

– Dobra. Sądzę, że Bartóg miał „jej” powiedzieć o terminie dostawy, ale dlaczegoś nie powiedział i zeżarł kartę, aby ukryć, że ten termin zna. A wiedział jednocześnie, że kierowca bezpośrednio do „niej” nie zadzwoni. Dlaczegoś nie powiedział? Przyczyna nasuwa mi się tylko jedna: chciał przejąć ładunek, no bo co znaczy polecenie „jedź punkt B”? Moim zdaniem znaczy: nie jedź tam, dokąd miałeś jechać, tylko jedź w inne, znane ci miejsce o kryptonimie „B”. Nastąpiła zmiana planów i to najprawdopodobniej bez wiedzy „jej”, czyli „gołąbeczki”, czyli „lupalomy”.

– Znać siwyl łor, wojna w szrodek gangi. Ja dawno mówił, że „lupaloma” to na full pewnoszcz żona od pan kongresmen Bambettel, tylko nema dowoda.

– A jakiego ty jeszcze chcesz dowodu? Żeby tu przyszła i powiedziała: dzień dobry panom, jestem lapaloma, czym mogę panom służyć? Tu cały czas są bardzo mocne poszlaki!

– Dla mnie one starczą, ale prokuratoru na pewno ćeba więcej.

– Prokuratorowi zawsze będzie trzeba więcej, szczególnie gdy samo podejrzewanie kogoś tak ustosunkowanego to jak wejście na skórkę od banana.

Po naradzie ustalili, że punktem „A” było przedsiębiorstwo budowlane Fafuśnika fikcyjnie sprzedane Kowalskiej, czyli „lapalomie”, natomiast nieznanie im jest usytuowanie punktu „B”, czyli być może jakiejś dziupli Barłoga, najprawdopodobniej nieznanego jego szefowej. Przemyślawszy sprawę O’Mlett rzeczowo stwierdził: – Ty, a po kolere nam siukać? Żeby udowodnić, że Barłóg osiukał te babę? To juś wiemy bez siukania. Jak my zaćinali sprawę to my mieli śeść kueszczens: Kto to, kto jego zabył, kiedy, gdzie, lasiego i ci on aby nie samobójec. Tera bieżemy paper i napiśemy ansuers, po kolei. Piszesz?

– Piszę.

– No to go! Kto jest ten zwłok? – Zenon Barłóg.

– Kiedy zgonił? – autopsi daje dokładny tajm.

– Gdzie? – na 99 procent psi Aleja Bojownicy.

– Lasiego? – bo osiukał czif.

– Kto jego zabył? – persenal niewiadomy.

– Ci on samobójec? – kolera jasna go wi, ale raczej nie, bo po co by zeżerał karte od telefona. No to z tego spisa widać, że my nie wiemy tylko kto jego zabył. Tego cieba się dowiadysz, ale ostrożnie i zamikamy sprawę. Żeby wyśło, że on sam siem zwałkował, to by było wery, wery, parso tobse!

– No a „lapaloma”, „kapusta”, „małpa” i cała reszta tego towarzystwa? Chcesz to tak zostawić, jak już rozplątaliśmy ten węzełek na dziewięćdziesiąt procent? Przekażmy przynajmniej wyniki do przestępczości zorganizowanej i do narkotyków.

– Charuj, ty moja kolega i ja nie będę ciebie narażował, bo ja sobie kambek do Stanów, a z twoja osoba pióra posypują. Nam kazali odśledziwać zwłoka ze szmetnika i my to zrobili. Jak inspektor chce, żeby psekazuje wyniki, to niech sam to roby i zagryzuje się z politykami. Houk!

– Dziękuję ci za to, że dbasz o moją skórę.

– Ty dużo wesz, twój skór drogi jak z bengol tajger. Ty maś żona i dżeci, a ony są gansters, nie mają żadne sumienie.

Trzy dni później Peter Drajwer, kierowca tira, uciekł z konwoju podczas przewożenia do prokuratury. Konwojenci zatruli się sokiem pomarańczowym, a badający ich toksykolog stwierdził, że

w soku było więcej barbituranów niż pomarańczy. Trupa Drajwera znaleziono w starej żwirowni dwa kilometry dalej. Ponoć spadł z dużej wysokości na kamienne podłoże i nie można było ustalić, czy ktoś mu czasem w tym nie pomógł. Miejscowa komenda wszczęła intensywne śledztwo, zatrzymano nawet bufetową, która sprzedawała sok, i dostawcę z rozlewni napojów gazowanych, ale nie osiągnięto zadowalających wyników. Prokurator szczególnie dochodził, dlaczego ktoś w chłodny, listopadowy dzień pił zimny sok pomarańczowy, ale ten kierunek śledztwa nie obiecywał sukcesów. Skończyło się na tym, że komendant nakazał przed konwojami pić wyłącznie gorzką herbatę, i to koniecznie ekspresową, bo zatrucie papierowych torebek jest dla sprawcy trudniejsze do wykonania.

– Wiesz co – powiedział Charuj do O’Mletta – chyba miałeś rację. Mało prawdopodobne, abyśmy doszli, kto zabił tego całego Barłoga. Ten kierowca to już szósty trup w tym śledztwie, a śmierć żadnego z nich nie została przez prawo należycie wyjaśniona.

– Mamy czas, w „Hamleta” biło oszem trupy, to nam poćeba jeście dwa, żeby wchodzić do historii.

– Zastanawia mnie tylko, dlaczego oni nie załatwili tego kierowcy wcześniej, tylko dopiero wtedy, jak trafiły do nas jego esemesy? Inna rzecz, że zawartość komórki i tak byśmy poznali, więc utłukli

go, bo się bali, że powie coś więcej. Jeżeli tak, to po co im była ta zwłoka w zabijaniu?

– Ja myślałam, że on coś wiedział, czego oni nie wiedzieli i nie wiedzą dalej. Jak uciekł pierwszy raz, to myśleli, że im powie, ale nie zdążyli. A teraz go zabyli, żeby nie powiedział nam. Nie mogli zrobić, żeby prokurator jego dał na wolność, to woleli go ścisować...

– Wyciszyć.

– Yes, wyciszyć, ale trudny sowa. Same ściszać. No for inglisz.

Ordynator ortopedii z kliniki chirurgicznej został wypuszczony za kaucją następnego dnia. Z zarzutów wobec niego nie zrezygnowano, bo skąła raz ruszona z posad musi toczyć się dalej, a wysocy agenci antykorupcyjni nie mogą tak raptem wyjść na głupków. Widocznie trzeba było odczekać aż ludzie trochę zapomną, a później przejść nad sprawą do porządku dziennego i udawać, że nic się nie stało. Co prawda jednemu z możnowładców przyszło do głowy, by w wywiadzie dla usłużnej prasy oskarżyć ordynatora o zamordowanie Aldony Pieścik, ale wyłgał się z tego gładko atakując wszystkich wokół za kłamstwo w żywe oczy, wrywanie zdań z kontekstu i działanie pod wpływem niezdrowych podszeptów, bo przecież on nigdy w życiu czegoś takiego nie powiedział i hańba tym, którzy to słyszeli.

W połowie listopada nastąpił ingres pani doradcy w randze ministra Bambetlowej do nowej, błyskawicznie wyremontowanej siedziby fundacji przy Alei Bojowników 25, a może 26. Do domu nie miała daleko, ale i tak rzadko widywano ją w tej dzielnicy. Z sąsiadującej z domem państwa Bambetłów posesji dawnej agencji towarzyskiej wyprowadzono pewnego popołudnia żółtą maszynę – potężny odkurzacz uliczny czy parkowy – przy pomocy której rozpoczęto porządkowanie skweru. Nikt nie wnikał po co to urządzenie, komu i do czego, było w agencji potrzebne, grunt, że teraz doskonale spełniało swoje zadanie wysysając wszystko, co znalazło się na jego drodze. Stalowy dinozaur pełził po zniszczonych trawnikach wyrzucając z siebie co pewien czas ubite w niebieskiej folii wałki wszelkiego rodzaju śmieci.

Wywiadowca, który z polecenia O'Mletta na zmianę z kolegami patrolował teren, zameldował o pojawieniu się urządzenia następnego dnia. Zrobił to ze służbowej powinności, nie przywiązując do tego faktu żadnej szczególnej wagi, ale komisarz z miejsca zasypał go pytaniami.

- Ta maszyna teraz, w ten czas, jeździ?
- Nie, stoi. Nawet nikt jej nie pilnuje.
- A jeździła kedi?
- Wieczorem.

– A jak ono czyści, co robi?

– Wciąga co się da. Wczoraj lump jeden zostawił zdezelowany wózek dziecienny z różnym śmieciem na skup, to go wciągnęła między te wałki. O mało co samego lumpa nie chwyciła. A ten jej kierowca tylko się śmiał.

Siła i agresywność tego kombajnu była zastanawiająca i nasuwała różne skojarzenia. O'Mlett wywlókł Charuja zza biurka i pojechali na ten skwerek. Maszyna rzeczywiście stała, silnik miała zimny, a na żółtych blachach z obu burt czerwono-granatowe, mocno zdarte napisy o treści: „Przedsiębiorstwo oczyszczania EKOL, G. Kowalska i ska”. Gdy kręcili się wokół urządzenia oceniając system działania tego monstrum, podszedł do nich wysoki osiłek w kombinie:

– Czego tu szukacie? Spieprzajcie stąd!

– Policja – warknął Charuj pokazując legitymację.

– No to co, że policja? Pracować już nie wolno?

– Nie widzimy, żeby pan pracował. Gdzie urzęduje ta Kowalska?

– Odpocząć też nie wolno? Niedługo odlać się zabronicie.

– Gdzie urzęduje ta Kowalska? – spokojnie powtórzył aspirant.

– A co mnie to obchodzi! Ja tu tylko robię. Urzęduje, czy nie urzęduje, to nie moja działka.

– Pytam grzecznie jeszcze raz, gdzie urzęduje Kowalska, do której należy ta maszyna. Jest napis na kadłubie, a adresu nie ma. To niezgodne z przepisami. Gdzie mieści się to przedsiębiorstwo?

– Gównu mi do tego. Ja jestem od obsługi, a nie od napisów.

Charuj zaczął tracić cierpliwość. – Dokumenty proszę – powiedział twardo – dowód osobisty i licencję na obsługę maszyn.

– Nie mam przy sobie. Nie noszę papierów, bo jeszcze gdzieś zgubię.

– Prowadzi pan maszynę na terenie publicznym bez dokumentów?

– A widzisz pan, żebym coś prowadził? Odpieprzcie się ode mnie! Przyszłem se tu i stoję. A co, stać też nie wolno?

– Nie ma pan dokumentów uprawniających do pracy, to pojedzie pan z nami. Jest pan zatrzymany do wyjaśnienia.

Osilek nagle odwrócił się, przedarł przez krzaki i puścił się biegiem w stronę budynków. Najbliżej miał do świeżo odremontowanego pałacyku po „klamce” i tam też wpadł zatraskując za sobą stalową furtkę.

O'Mlett zatrzymał Charuja ruszającego w pościg za nerwowym operatorem.

– Zaciekaj, ten ćłówek nie poćebny. Maszyna poćebny. Niech jedże ekipa! Ja muszy wedzieć, co toto może.

– Czy może, na przykład, wessać Barłoga? Na moje oko może, skoro zezała wózek ze śmieciami. Jeszcze takiego kombajnu nie widziałem.

– Ja wydziałem na jeden erport w Stanach, ono jeźdzy po ranłej i syssa.

Ekipa pojawiła się po pół godzinie. Do czasu ich przybycia nic się nie działo, przybywało tylko coraz więcej dziwnych gapiów reprezentujących chyba wszystkie stany istniejące w Rzeczypospolitej. Brakowało tylko biskupa. Widzowie stali i patrzyli, albo spacerowali pozornie obojętnie, zerkając jednak ukradkiem. Przybyły z ekipą spec od mechaniki prędko dotarł do wnętrza tuby ssącej i ślimaka przesuującego urobek, ale wewnątrz znalazł tylko elementy skwerkowych brudów i bęben ze zwojem niebieskiego, foliowego rękawa.

– A czego my właściwie szukamy? – zapytał O’Mletta.

– Ja chce wiedzieć, ci w szrodku jest reśtki zwłoka.

– O rany – specjalista wybałuszył oczy z lekkim przerażeniem. – Ale mi się fucha trafiła. A co to ma być? Ręka, noga, ucho, jaja?

– Aj dont knou... znać ne wim. Cokolwek, na psikład krew.

– Szefie, to niemożliwe, żebym coś takiego znalazł, a przynajmniej nie w tych warunkach! Deszcz pada, wszystko mokre,

a w środku liście, patyki i inne badziewie. Jeśli nawet coś było, to już dawno się zmyło. A co, wessało kogoś?

– Może... i ci tygodnie temu w tył.

– No to nie mamy szans. To cholerstwo nie ma magazynu ubroku, tylko co złapie to ubija w worki i wyrzuca, jak na przykład snopowiązałka.

Na dokładniejsze badania trzeba by ściągać maszynę na policyjny parking, a wynik tych badań, z uwagi na upływ czasu, byłby wątpliwy i nieoptymalny. Nawet gdyby znaleziono wewnątrz jakieś ślady, z których dałoby się wyodrębnić DNA Barłoga, to i tak nie przesądzałyby o tym, że go zamordowano. Byłby to tylko dodatkowy dowód na to, że denat znajdował się w tej maszynie, na co i tak wskazywały dowody pośrednie. W tej sytuacji O'Mlett postanowił zostawić ten kombajn na miejscu i nie narażać komendy na dodatkowe koszty.

– Wiemy, co rozdużyło tego ofiara, kedy i gdzie. A dowoda kto jego wzięcał nie odsiukamy, to po co nam take śledzenie na darmo – krótko wyjaśnił swój pogląd Charujowi.

Po powrocie do komendy zostali natychmiast wezwani do inspektora. Przełożony był wyraźnie wzburzony i widać było, że dobro śledztwa walczy w nim z dobrami innego rodzaju i pojedynek dóbr, jak na razie, jest nierozstrzygnięty.

– Wiecie, rozumiecie – powiedział w miarę spokojnie – są skargi na was, że bez żadnej przyczyny nękanie załogę przedsiębiorstwa remontującego siedzibę fundacji. Podobno robicie to w celach politycznych, dla zaspokojenia i wbrew!

– A kogo niby mamy zaspokoić? – spytał Charuj z głupia frant.

– No, siły przeciwne. Wy się głupio nie pytajcie, wiecie, rozumiecie. Ja was tu muszę bronić przed zarzutami o ubeckie metody, a nie mam argumentów, bo niby czemu miało służyć to czepianie się operatora? Za co chcieliście go bić, skuwać i poniżyć przy świadkach?

– Gdybyśmy chcieli go skuć, to skulibyśmy.

– Ten człowiek podobno jest w szoku i wymaga pomocy lekarskiej!

– Taki szok wywołało w nim żądanie okazania dowodu i uprawnień do prowadzenia tej maszyny czyszczącej? A może szokiem dla niego było pytanie, gdzie urzęduje pani Kowalska?

– Jaka znowu Kowalska? – inspektor poczuł się zdezorientowany.

– Właścicielka tego kombajnu, prowadzonego bez uprawnień.

– Wiecie, rozumiecie, wy mi tu nie zabagniajcie sprawy. Może uda mi się tę kwestię wyciszyć, a z waszej strony oczekuję rozwagi, a nie nieprzemyślanych wyskoków, wiecie, rozumiecie, podważających prestiż komendy!

– Nie rozrabiaj, nie podskakuj, siedź na dupie i przytakuj – powiedział Charuj, gdy opuścili gabinet szefa.

– Co powedźałeś?

– Nic ważnego, to takie stare, polskie powiedzenie. Aktualne od pięćdziesięciu lat.

Zaparzyli sobie kawę, usiedli i doszli do wniosku, że właściwie nie ma się co narażać, bo to co wiedzą, wystarczy na zakończenie śledztwa. Problem był tylko w tym, co można napisać, a czego nie można. Po radzie i ocenie wszystkich za i przeciw ustalili, że nie będą się wychylać z przypuszczeniami i sugestiami, tylko stwierdzą krótko, że Zenon Felicjan Barłóg zmarł w dniu takim a takim, o godzinie tej a tej na terenie agencji towarzyskiej mieszczącej się przy Alei Bojowników Za Sprawę 25 lub 26, w wyniku dostania się w tryby urządzenia czyszczącego teren. Zgon nastąpił na skutek nieszczęśliwego wypadku. Działania osób trzecich nie ustalono, nie można więc wykluczyć także samobójstwa. Ciało w worku z folii zostało automatycznie usunięte przez maszynę, w wyniku czego wraz z innymi odpadami znalazło się na miejskim wysypisku.

Następnego dnia inspektor przeczytał raport i był jego treścią całkowicie usatysfakcjonowany. Posadził obu policjantów naprzeciwko swojego biurka i poprosił o słowne rozszerzenie relacji z przebiegu prawie miesiąc trwającego śledztwa.

Charuj z O'Mlettem spojrzeli na siebie, porozumieli wzrokiem i komisarz postanowił mówić bez ogródek, licząc na zawodową i koleżeńską dyskrecję przełożonego.

– W Stanach czif nesesery muszy wedzeć cały prawda, a tu? Poćebny panu inspiктору cały prawda, tilko for pana uszi, ser?

– Oczywiście...

– Bjutiful, to ja mówy, a pan nie pyše i nie nagriwuje, ser. Barłóg duży gangster. On ważna kolega od drugy gangster „kapusta”, znaći Fafuszniak, aktiual senator, i ćeci, lejdi gangster, syster od Fafuszniak, prezes co doradzacz od kotów dla pan prezydent. Ony tuggeder robiom w narkotiki. Ony kupowili od Kalambia pśez ćwarty gangster, myster Psicki nejm. Barłóg pśeszkadzował Fafuszniaku w wybori na senator i chczął wikou... wukau...

– Wykołować – wtrącił Charuj.

– Yes. Wikołowacz, znaći pśejąc dostawa narkotika w sedesy, co biła dla syster Fafuszniaka, cili lejdi Bambetel, co jej monsz kongresmen...

– Ależ kolego, co pan opowiada! – zachnął się inspektor.

– Powiadam cały prawda! Barłóg zeżarł karta od telefona, żeby się nie widało, ale ony i tak go zabili. Wepchli w ta mašina od ćiścienia ranfej, on wcale żaden samobójec. Teraz ta najważniejszy prawda. „Lapaloma” to jest lejdi Bambetel, Fafuszniak syster, od

dawny monsz Kowalska primo voto. Teraz pan rozumy, czemu my wery badali ta mašina, co w niego wepchli Barłoga?

– Ależ to nieprawdopodobne...

– Cemu? Panie inspiktor, lasiego pan tak myszli, ser! W te śledztwo jest śeść trupy! Ja nie wem, ci to dla was dużo, ci mało, ale dla ganga to biło tu bi, or not tu bi. Tenkiu, ser. Co my mieli powedzieć ustownie, to powedzieli.

Następnego dnia inspektor nie przyjechał do pracy. W nocy odwieziono go do szpitala z objawami nasilającej się choroby wieńcowej. O’Mlett i Charuj w swoim pisemnym raporcie nie zmienili ani słowa, a podinspektor Przeciąg, czasowo pełniący obowiązki szefa, o nic ich nie pytał.

Cztery dni później znaleziono trupa Zbyńka z krzywą mordą, ksywa „tajson”. Pływał sobie spokojnie w Wiśle przynajmniej od czterdziestu ośmiu godzin z dwudziestocentymetrowym nożem w plecach. Wyłowił go wędkarz. Zatrzymano go dla pewności do wyjaśnienia pod pretekstem, że miał nieaktualną kartę wędkarską, amerykański kołowrotek za ciężkie pieniądze, na który na pewno go nie stać i dojeżdżał motorynką nie mając karty rowerowej. Przesłuchany na okoliczność znaleziska wyjaśnił, że rzucał spinningiem na szczupaka i coś mu się zaczepiło na błystkę.

– Panie, widział pan kiedy w Wiśle szczupaka? – powiedział przestuchujący go policjant. – Mydło pan sobie kup i ręce umyj, jak gównu złapiesz. Lepiej przyznaj się pan, coś pan robił nad tą Wisłą w towarzystwie denata, bo w łowieniu szczupaka w tym ścieku i w listopadzie to ja nie uwierzę.

Wędkarz zaklinał się na wszystkie świętości, że przyszedł tu tylko w celu zmiany łowiska, bo normalnie moczy kij nad kanałkiem, i że świętej pamięci trupa pierwszy raz w życiu widzi, więc sprawa utknęła w miejscu. Podinspektor Przeciąg śledztwo przekazał pierwszemu z brzegu wolnemu detektywowi, a O'Mlett i Charuj o znalezieniu zwłok „tajsona” dowiedzieli się tylko przypadkiem.

– No to mamy siódmego trupa z tej samej paczki – stwierdził Charuj bez szczególnego zainteresowania. – Właściwie co to nas teraz obchodzi. Tego nieboszczyka nawet nie ujęliśmy w raporcie. Prokurator go wypuścił, to niech się teraz martwi.

Kilka dni później sekretarka zastępcy szefa powiadomiła ich, że mają się stawić nazajutrz na uroczystą odprawę, podczas której komenda otrzyma specjalne podziękowanie za całokształt działań prewencyjnych i śledczych. – Tylko ubierzcie się jakoś przystojniej – dodała – możecie nie być w mundurach, ale i nie w sweterkach, bo spodziewamy się dostojników.

- A kto będzie? – spytał Charuj.
- Doradca prezydenta w randze ministra, pani prezes Bambelowa, w towarzystwie pana senatora Fafuśnika.
- O kurwa! – cicho powiedział Charuj.
- Rešta jest mylćeniem – dodał O'Mlett.

KONIEC